POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — **Dnia 28-go sierpnia 1943r.** — **Rok V. Nr. 34**

PROTESTUJĘ

Bliskie mi jest zagadnienie jeńców, jako byłemu jeńcowi w Niemczech.* Po wyjściu z niewoli zajmowałem się czas jakiś pomocą dla nich. Pisywałem do nich listy. Czytywałem listy, jakie piszą. Pochlebiam sobie, że potrafię odczuć ich duszę, że rozumiem to, co myślą i jak myślą. Były jeniec lepiej potrafi czytać między wierszami ich listów, rozumie głębiej szyfr prostych, nic nieznaczących słów, jakich są pełne, a z których każde naładowane jest ogromną siłą niedopowiedzianych uczuć i napiętych tęsknotą myśli. Nic w tym dziwnego ostatecznie, skoro zważyć, że sam do niedawna pisywałem listy podobne.

Od czasu przybycia do Anglii interesuje mnie nieustannie wszystko, co obrazuje tutejszy stosunek, tak urzędowy jak i nieoficjalny, do zagadnienia czekających za drutami obozów w Niemczech braci. Nie zetknąłem się dotąd z żadną oficjalną ekspozyturą naszego szczególniejszego zainteresowania się ich sprawami. Widocznie jej nie ma. O Czerwonym Krzyżu nie wspominam. To co się robi przez tę instytucję, rozumie się niejako samo przez się. To jest minimum, istniejące wszędzie. I nie ubiegam się o posadę w Czerwonym Krzyżu ani w Rubensie, jeżeli stwierdzę, że wydaje mi się rzeczą logiczną, a na prawdę niecierpiącą zwłoki, aby s p r a w y j e ń c ó w na tym terenie w z i ę l i w r ę c e z oficjalnego polecenia b y l i j e ń c y, ludzie serca, rozumu i doświadczenia.

Jeżeli idzie o prywatne zainteresowanie się losem tych, którzy od blisko czterech lat czekają w zamknięciu niemieckich obozów, odcięci od wszystkiego, co stanowi smak i wartość życia—mało kto tutaj poświęca im dostateczną uwagę, albo zainteresowanie. W najlepszym wypadku opodatkowuje się może miesięcznie na rzecz tych nieszczęśliwców i zdobywa kosztem ewentualnego funta czyste sumienie i poczucie, że zrobił swoje. Wyłączam oczywiście tych, którzy mają w obozach członków najbliższej rodziny, przyjaciół, kolegów zawodowych, pułkowych czy innych. Ale stwierdzam, że wszystko co się robi tutaj dla jeńców, jest niedostateczne, nie dość powszechne, nie dość przenikające w całe społeczeństwo polskie na obczyźnie, mające w obecnych czasach niebywały przywilej życia na wolności w porównaniu z Krajem, z Rosją, z obozami w Niemczech.

Ilu jest jeszcze jeńców polskich w Niemczech, którzy nigdy od nikogo nie otrzymali znaku życia ani paczki? Jeżeli by został jeden tylko zapomniany, to ten jeden niechaj będzie jak wyrzut sumienia i oskarżenie pod adresem nas wszystkich, że nie spełniamy swoich obowiązków. Ale na to, aby dojść gdzie się znajduje, trzeba zapewne większego, niż dotąd zespolenia wysiłków, funduszów i dokumentacji oraz skupienia tych wszystkich elementów w jednej odpowiedzialnej i energicznej ręce, posiadającej w dodatku daleko sięgające pełnomocnictwa.

Ci, którzy myślą o Kraju a zapominają o jeńcach, niech pamiętają, że każda paczka wysłana do jeńca w Niemczech to oszczędzenie Krajowi konieczności wysłania jej stamtąd. Bo Kraj, mimo swojej nędzy i wyczerpania, poczuwa się do absolutnej solidarności z jeńcami i sam bez środków i bez pomocy, nie szczędzi jej synom swoim za drutami, wydobywa, wyszarpuje ją z siebie razem z krwią i z ostatnim oddechem.

Dlatego też naszej akcji dla jeńców trzeba koniecznie i we wszystkich wypadkach odebrać ten charakter dobroczynności, jaki zbyt często zdaje się ona tutaj przybierać, zamiast stanowić w każdym swoim przejawie narodowy, społeczny i ludzki gest obowiązku, równie dla sprawy ważnego i oddanego jak służba w wojsku. Jakże inaczej w sposób prawdziwie godny wyrazić tym dziesiątkom tysięcy ludzi, odgrodzonych od nas ścianą milczenia, tę absolutną solidarność z ich postawą i z ich cierpieniem, do jakiej każdy wolny Polak musi poczuwać się, jeśli posiada w sobie choć trochę rozumu i serca.

Obojętność, z jaką niektóre oficjalne czynniki skłonne są traktować ludzi przybyłych i przybywających stamtąd, stanowić musi osobny przedmiot rozczarowania i wpływa na niepotrzebne marnowanie wyjątkowych wartości uporu, energii i entuzjazmu. Tylko ten, kto się z obozu wydostał, ocenić potrafi wszystko, trud, wkład cierpliwości i wysiłku, jaki potrzebny jest, aby zameldować się wreszcie znowu do szeregów wojska polskiego.

Nikt się właściwie poza pewnym urzędowym szablonem nie interesuje tym, co przywożą. A przecież oni jedni są w stanie odsłonić całą prawdę doświadczeń, przez które przeszli, a które zostają udziałem dziesiątków tysięcy innych. Znajdzie się jeden i drugi piśmienny, który z własnych pobudek to świadectwo na papier położy i ewentualnie opublikuje, chociaż każdy z nich niesie w sobie przeżycia godne książki i każdy stanowi dla nas postać naocznego, żywego świadka, a tym samym bezcenną wartość dokumentu narodowej naszej martyrologii w czasie tej wojny.

Nie umiem się oprzeć wrażeniu, że jeśli nawet sporo materiału dzięki tym ludziom właśnie bogaci i uzupełnia nasze archiwa i kartoteki, praktyczny rezultat owych wzbogaceń i uzupełnień jest co najmniej tylko papierowy. Kto tu posiada jasny i dokładny obraz stosunków albo nastrojów w poszczególnych obozach? Kto—jeśli by nawet miał ten obraz w głowie, wyciągnąć z niego potrafi życiowe i dostosowane do zmieniającej się rzeczywistości wnioski? I wyprowadzać z nich natychmiast akcję i zamieniać je od razu w czyn, na który czekają jeńcy?

I jeszcze jedna uwaga. Przeszliśmy dwa wielkie wstrząsy w klęsce Września i Czerwca. Są one jak filtry i niby sito, które zatrzymało niestety w obu wypadkach prawie całą naszą frontową, więc niewątpliwie najlepszą część narodu. Ewakuować mogły się tylko dalekie tyły. Dopiero w drugim rzucie poczęły przenikać i przeciekać grupy i jednostki, mocne już tylko własnym sprytem, cierpliwością, rozmachem i odwagą.

Tak było w Polsce, tak było we Francji. Rosja pozostanie niestety do końca zagadnieniem i zjawiskiem odrębnym. To co dzisiaj przybywa do Anglii z Europy zajętej przez Niemców, to są nieomal bez wyjątku ludzie przecedzeni przez sito drutów kolczastych, prześladowania i trudów, niepojętych dla tych, którzy już wrośli w tryb życia i służby mniej więcej normalny tutaj, a dla wielu lepszy, niż kiedykolwiek przedtem w pokojowych czasach.

Takie przejścia kończą ludzi, albo ich krystalizują. W naszym wypadku nie może być wątpliwości, że ci którzy do tych brzegów dobijają, zasługują niemal bez wyjątku na tę drugą klasyfikację.

A wreszcie i przede wszystkim nieustająca sprawa tych, którzy zostali. Którzy nie mieli szczęścia albo okazji, którzy trwając tam, gdzie ich rzuciło przeznaczenie, spełniają w tej chwili rolę ważniejszą, niż niejeden z ważnych tu na miejscu ludzi. Dowiemy się o tym dopiero po wojnie.

Wszystko co dotąd napisałem na temat jeńców jest jednak zaledwie wstępem do tej drugiej, istotnej części artykułu, który nazwałem: "Protestuję."

Protestuję przeciw szerzącej się dążności uważania jeńców z góry za ludzi już niepełnowartościowych, za ludzi niejako umniejszonych pobytem w obozach, zacofanych i spóźnionych w stosunku do osobników korzystających przez ten okres czasu z przywilejów swobody i takich, którzy długo będą musieli odrabiać zaległości, jakie wywołała ich długa a tak bolesna nieobecność, zanim uznani zostaną za równych tamtym. Świadczy taki stosunek o karygodnej doprawdy nieznajomości życia i czucia jeńców a wynika z tych wszystkich elementów, o jakich w pierwszej części artykułu rozwodziłem się aż nadto szeroko.

Są widocznie ludzie, którzy uważają, że egzystencja bez breakfastów z bekonem, bez łazienki, bez komfortu żon i sekretarek, bez czytania "Dziennika Polskiego," bez słuchania mów, bez udziału w rozgrywkach personalnych i politycznych, bez awansów i bez odznaczeń, bez pensji w funtach, jest życiem nienormalnym. Że szare, trudne, zacięte życie naszych jeńców po tamtej stronie wyczerpuje do tego stopnia ich substancję duchową i narusza ich wartość moralną, że nadawać się będą już tylko do sanatoriów, jako swego rodzaju emeryci, przedwcześnie i już na zapas odstawieni. Że ci ludzie zmarnowani i wykończeni niewolą w żadnym wypadku nie będą mogli zabrać głosu w decydujących sprawach naszego życia powojennego ani zająć w nim odpowiedzialnych miejsc. Czyżby próba asekuracji przed ich masowym zjawieniem się i zażądaniem nie tylko miejsca, ale i rachunku?

Podnoszę już dzisiaj protest przeciw takiemu nastawieniu. Już dzisiaj biję na alarm przypomnieniem o ich czułym, żywym, gorącym zainteresowaniu się dla wszystkich spraw naszego obecnego życia i naszej wspólnej przyszłości. O ich woli przetrwania i dotrwania. Jeńcy—proszę panów — poinformowani są o wielu sprawach lepiej, niż ktokolwiek przypuszcza. Obok tych, którzy walczą i trwają w Kraju oni są pierwsi powołani do głosu w sprawach dotyczących każdego z ważnych i żywotnych zagadnień polskiej egzystencji powojennej. I głosu ich będziemy musieli słuchać, jako wyrazu głębokich zbiorowych przemyśleń skazanej na odcięcie elity.

Uczmy się może z ciekawego przykładu Francji gdzie odruchowo postawione zostało a potem także rozwiązywane w praktyce zagadnienie więzi duchowej z jeńcami. Opinia jeńców gra ogromną rolę w toczącej się walce przeciw okupantom. Publicyści nieraz publicznie rozważają nastroje wśród jeńców. Ich zdanie brane jest pod uwagę w każdym przejawie narodowego życia. Ich nieobecność nie tylko ciąży — ich obecność obowiązuje!

Ba, przyszłość Francji widzi się tam żywo pod kątem czucia i myślenia jeńców a także z punktu widzenia ich przyszłości jako byłych jeńców. Nic łatwiejszego dzisiaj wiedzieć, co i jak jeńcy myślą. Nic łatwiejszego przewidzieć dla nas, że w Kraju bliżsi są oni wszystkim tam trwającym, niż emigracja i że droga do Kraju prowadzi w ogromnej mierze przez jeńców.

Że nie mają żadnej oficjalnej reprezentacji, ani nikogo dotąd, który by ich sprawy pilnował i myślał o ich przyszłości? Że przyjdą onieśmieleni tym postępem, tymi dokonaniami, tymi zmianami, jakie się dzieją pod ich nieobecność i jakie w wielu wypadkach dzielić byłyby skłonne i dziwić czasem, choć pomyślane są raczej jako budujące podwaliny pod nieznaną dotąd dla nikogo przyszłość? Że nie tracili czasu, choć nie przechodzili kursów doskonalących, ani przeszkoleń i że nie znają ostatnich osiągnięć w dziedzinie walki pancernej, taktyki i operacyj kombinowanych?

Ale niejeden w niewoli lepiej się nauczył po angielsku, niż to uczynili ludzie, siedzący od trzech lat w Anglii! Ale większość zamkniętych za drutami jeńców to dziś ludzie pracujący nad sobą, ludzie żelaznej dyscypliny, bez której trwanie w bezczynności życia obozowego byłoby zgubą i pewnym wykończeniem człowieka. W tych przepastnych obszarach czasu i samotności, w jakich zmuszeni są żyć, mają okazję przemyślenia nie tylko oderwanych programów zbawienia świata, ale także i przede wszystkim swojego stosunku do ludzi, do człowieka, z którego jeden jest bratem, poddanym bez względu na swoje kwalifikacje i stanowisko w przeszłości tym samym co wszyscy losom, a drugi prześladowcą i wrogiem.

Bo w tym przymusowym pomieszaniu warstw, w tym zbiorowym życiu nauczyli się prawd i wartości, którym rzadko poświęcało się u nas dostateczną uwagę i skupienie. Oto poznali się nawzajem ludzie różnych zawodów, różnego pochodzenia, różnych poziomów—i pod naciskiem obcego przymusu i w tyglu prawdziwego koleżeństwa utworzyli podstawy tej prawdziwie demokratycznej formy istnienia, która polegać winna głównie na ludzkim stosunku i odnoszeniu się bliźnich, na tej mądrości i sztuce współżycia, która oparta o życzliwość i solidarność wzajemną będzie stanowić ważny wkład w naszą przyszłość.

Pozbawieni okazji do kształcenia się w owej wiedzy specjalnej, która posłuży do wygrania wojny, żyją w warunkach, które kształcą przede wszystkim charakter, które moralną stronę człowieka rozwijają i podnoszą, które uczą wspólnego mianownika, które ludzi zbliżają, zamiast ich dzielić. A tylko na tych elementach i na takich ludziach będziemy mogli oprzeć w przyszłości prawdziwy, bo także wewnętrzny pokój.

JACEK LIS

* Por. artykuł tego samego autora: "Nie rozumiem," druk. w nr. 19 "Polski Walczącej."

WŁADYSŁAW MIRECKI: Marsz



Szkic sytuacyjny

NARADY W QUEBECU

Nie mamy jeszcze w tej chwili dokładnych doniesień o przebiegu narad w Quebecu i decyzjach tam powziętych. Przypuszczać jednak wolno, że narady rozpoczęły się w bardziej ciasnych ramach i że sytuacja zmusiła do ich rozszerzenia. Tym należy tłumaczyć przybycie zarówno ministra Edena jak i Cordell Hulla, oraz pojawienie się na widowni ministra informacji W. Brytanii Brackena.

Obaj ministrowie spraw zagranicznych muszą rozważyć wcale trudną sytuacją polityczną. Jeżeli chodzi o ministra informacji, to trzeba zastanowić się nad nowymi metodami walki psychologicznej. Jest rzeczą jasną, że ta *wojna psychologiczna staje się rzeczą doniosłej wagi w obliczu najazdu na kontynent.*

Jeśli inwazja kontynentu — chociaż termin jej dalej nie jest określony — stanowi trzon narad w Quebecu, trzeba oczywiście zabiegać bardzo starannie o przygotowanie artyleryjskie już teraz. To właśnie należy to resortu ministra informacji.

Wyniki tego działania w stosunku do Włoch nie były takie, jakich oczekiwali sojusznicy. Ulegano tu złudzeniom, że upadek Mussoliniego spowoduje momentalnie upadek siły oporu Włoch. Przeliczono się z tym, że to państwo włoskie/ a nie system dyktatora/ było jednak w wojnie i że to naród włoski jest już dzisiaj przyparty do muru. W tych warunkach społeczeństwo zagrożone bombami, nie mając świadomości co je właściwie czeka, nie wiedząc, jak się zachować w powodzi plotek i alarmów, społeczeństwo otumanione propagandą faszystowską, przybite i wydrenowane z zasobów — *broni się.* Opór włoski trwa, jakkolwiek jednostki włoskie w ostatnich fazach bojów na Sycylii biły się może słabiej, aniżeli jednostki niemieckie.

Jeżeli tak jest, jeżeli Włochy ciągle jeszcze są w wojnie i nie wyłamały się z niej, trzeba się zastanowić, co robić dalej. Jeżeli chodzi o Rzym, to Roosevelt oświadczył ongiś, że sojusznicy życzą sobie, ażeby miasto to stało się miastem otwartym. Skoro tak, to teraz nie sposób je bombardować. *Należy powziąć jakąś decyzję polityczną w sprawie Włoch.* Przynieść ją winien Quebec.

Decyzja w sprawie Francji jest również koniecznością. Sowiety dały do zrozumienia, że zwłoka z uznaniem komitetu w Algierze jest zbyt długa i że same uznają ten komitet. Anglia i Ameryka najwidoczniej zwlekają. Powodem jest de Gaulle, którego poważna część prasy anglosaskiej oskarża o — apetyty dyktatorskie i faszystowskie. Natomiast Sowiety są innego zdania.

I w tym to właśnie momencie przychodzi doniesienie, że p. Litwinow, ambasador sowiecki w Waszyngtonie, zostaje odwołany do centrali moskiewskiej. Naturalnie tego rodzaju manewr wywołuje komentarze bardzo rozmaite. Przypomina się, że jest to już drugie posunięcie tego typu, że p. Majskij został wcześniej odwołany z Londynu, a na jego miejsce zjawił się /liczący sobie 39 lat/ p. Gusiew. Odwołanie Litwinowa budzi wspomnienia natury, by tak rzec, historycznej. Wiadomo dobrze, że kiedy odwołano go ze stanowiska ministra spraw zagr. Rosji sowieckiej w czerwcu r. 1939 i kiedy na jego miejsce przyszedł Mołotow, oznaczało to zmianę polityki sowieckiej. Niebawem doszło do porozumienia sowiecko-niemieckiego.

Dzisiaj pisma angielskie i amerykańskie zaczynają przypominać te rzeczy. Komentarze prasy anglosaskiej stają się zaniepokojone. Coraz więcej jest uwag krytycznych. Coraz więcej znaków zapytania. Należy wyczekać, jak się ułożą dalej stosunki między aliantami.

GDZIE UDERZENIE?

Zagadnienie kierunku uderzenia po zajęciu Sycylii jest dalej szeroko dyskutowane przez prasę brytyjską. Wiele wskazywało by na to, że uderzenie na ląd stały Włoch nie jest wykluczone. Zajęcie Wysp Liparyjskich jest dowodem, że sojusznicy chcą mieć swobodę ruchu na wodach przybrzeżnych Włoch i że jest rozważany ewentualny atak na pobrzeże Włoch od strony Neapolu i Ostii. Niektóre pisma londyńskie biorą poważnie pod uwagę możliwość przecięcia Włoch na dwie połowy przez uderzenie na okolice Rzymu. Rzeczywiście obrona południa półwyspu apenińskiego jest zadaniem tak trudnym, a nasycenie tego obszaru sprzętem tak niedostateczne, że nie było by nic w tym dziwnego. Wojska niemieckie dalej zdają się szantażować Badoglia tym, że będą musiały stworzyć linię obrony przez północne Włochy i że linia Padu musi być broniona.

Włochy są w stanie zupełnego rozbicia. Linie kolejowe w okręgach Neapolu i Rzymu są porażone bombami, a przemysł włoski pracuje chyba bardzo słabo. Robotnicy włoscy nie przeprowadzili strajku generalnego, jak to zapowiadano, ale wydajność ich pracy jest prawdopodobnie nieznaczna. Pogłoski, że do Lizbony przyjechała albo wyjeżdża jakaś misja włoska, rosną na sile. Wymienia się podobno Grandi'ego jako szefa tej misji. Nie należy zapominać, że to Grandi zadał Mussoliniemu cios w plecy, albowiem na ostatnim zebraniu Wielkiej Rady Faszystowskiej on to zorganizował opór przeciwko włoskiemu dyktatorowi.

Na razie jednak Badoglio trzyma się, rewolty we Włoszech nie ma, a bombardowania dalej są prowadzone. Wolno sądzić, że dopiero w chwili, gdy wojska sojusznicze wejdą na ląd włoski, ludność da wyraz swojej woli pokoju, armia włoska zacznie się poddawać. Sojusznicy doszli bodaj do tego wniosku i dlatego wejście ich na ląd włoski jest rzeczą wcale możliwą, logiczną.

Dlaczego nie powiodła się nasza ofensywa propagandowa w stosunku do Włoch? Na to pytanie musimy sobie odpowiedzieć szczerze. Jeżeli jednak zawiodła, jeżeli odporność społeczeństw zahartowanych w dyscyplinie faszystowskiej jest większa niż przypuszczaliśmy, jeżeli jednak nie widać nadmiernej woli poddania się, to dowodzi to, iż walka o Europę może, choć nie musi — być dłuższa.

Skoro tak bronią się Włochy, to jak do czasu bronić się będą Niemcy? Oto pytanie, które musimy również wziąć poważnie pod uwagę.

ZABIEGI POKOJOWE RZESZY

Niedawno Berlin — tak się przypuszcza — nadał po angielsku na Stany Zjd. pogadankę, w której znalazły się wyraźne przymilania. Powiedziano tam, że powodem całego nieszczęścia tej wojny jest "*niesprawiedliwy traktat w Wersalu,*" ale że hasło bezwarunkowego poddania się jest "*zbyt nieludzkie.*" Rzesza nie może przyjąć takiego wezwania. Raczej będzie walczyć.

W związku z tym londyński "*Times*" wskazuje, że w swoich wspomnieniach ostatni kanclerz Rzeszy, Książe Max Badeński, zaznaczył, iż już na wiosnę r. 1918-ego polecił rozpoczęcie akcji pokojowej, ale że jego wskazówki zalecały, ażeby ta akcja była bardzo przebiegła i delikatna. Nie można bowiem budzić podejrzenia — tak mówił w swoich istrukcjach Ks. Max Badeński — że nadmiernie szybko chcemy pokoju, że musimy uzyskać pokój za wszelką cenę. Świat pamięta przecież — powiada dalej — jak to wyśmiewaliśmy wrogów w dobie naszych zwycięstw. Nie można wprost przeskoczyć z przechwałek do prośby o pokój.

Zdaje się, że Rzesza sięga do wskazań Maxa Badeńskiego. Ale sojusznicy mają lepszą pamięć, aniżeli sądzi propaganda niemiecka.

FRONT SOWIECKI

Wojska rosyjskie posuwają się wolno, ale stale, przy czym *bitwa na froncie wschodnim nosi wszelkie cechy walki, gdzie po obu stronach wytraca się sprzęt na niebywałą skalę.*

Rezerwy sowieckie wydają się olbrzymie. Strategia niemiecka przyjmuje metody jakie dawniej stosowała strategia sowiecka — wytrzymywanie ciosów, liczenie na wykruszenie się sił wroga. *Strategia niemiecka straciła zatem nie tylko swój rozmach, ale i oryginalność.*

Jest to dowodem stałego cofania się myśli strategicznej Rzeszy i tego, że armia niemiecka nie widzi już innego wyjścia jak tylko *przetrzymanie, granie na czas, liczenie na zmęczenie ogólne. Jest to rachuba bardzo krucha, z gruntu defetystyczna.*

Londyn, dnia 23 sierpnia 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

14 *s i e r p n i a : Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe. Wszyscy piloci polscy powrócili.*

15 *s i e r p n i a : Święto Żołnierza Polskiego, obchodzone w ramach wewnętrznych oddziałów. Z okazji święta Naczelny Wódz wydał do żołnierzy Rozkaz nr. 12, zawierający apel Prezydenta R.P. W apelu tym czytamy:*

"W walce naszej nie było i nie ma wahań i zwątpień; jest jasno wytknięty cel i niezłomne męstwo. Na miejscu poległych stają w szeregach nowi bojownicy i do końca ich nie zbraknie.

"Wzywam wszystkich Polaków do karnego działania w imię niepodległej i niepodzielnej Rzeczypospolitej. Dla Jej życia każdy z nas gotów być musi dać życie."

—Prezydent R.P. odwiedził dywizjon bombowy Ziemi Śląskiej, gdzie dokonał dekoracji lotników orderami "Virtuti Militari" i Krzyżami Walecznych, nadanymi przez Naczelnego Wodza.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe. Wszyscy piloci polscy powrócili.

16 *s i e r p n i a : W nocy z 15/16 polskie samoloty bombowe brały udział w zadaniach bojowych. Wszystkie załogi polskie powróciły.*

—Polskie samoloty wykonały dalekosiężne loty myśliwskie. Wszystkie samoloty powróciły.

17 *s i e r p n i a : Wojska amerykańskie i brytyjskie połączyły się w Messynie. Zorganizowany opór niemiecki na Sycylii ustał. Kampania sycylijska została zakończona po 39 dniach walk.*

—Prezydent Roosevelt przybył do Quebec, aby wziąć udział w naradach z premierem Churchillem.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe. W czasie działań wywiązała się walka z myśliwcami niemieckimi. Polscy piloci zestrzelili na pewno trzy Focke-Wulfy 190 i prawdopodobnie czwarty. Wszyscy piloci polscy powrócili bez strat.

18 *s i e r p n i a : Ogłoszono następującą depeszę, którą otrzymał Naczelny Wódz gen. broni K. Sosnkowski:*

"W imieniu podległych mi Sił Zbrojnych w Kraju dziękuję Panu Generałowi za okazane naszym szeregom serce i uznanie dla naszej pracy. Słowa Pana Generała będą nam bodźcem do zwiększenia wysiłków.

"W osobie Pana Generała widzimy tego, który pierwszy dał nam wskazania do organizowania walki i pracy podziemnej. Tym wskazaniom i rozkazom Siły Zbrojne w Kraju zawsze były wierne i nadal wierne im pozostaną.

"Z osobą Pana Generała łączyć nas będą nie tylko więzy posłuszeństwa należne Naczelnemu Wodzowi, ale i niemniej serdecznego żołnierskiego oddania."

—Polskie samoloty myśliwskie osłaniały wyprawę bombową oraz wykonały dwukrotnie patrole ofensywne. Z wszystkich tych działań piloci polscy powrócili.

19 *s i e r p n i a : Polskie skrzydło myśliwskie osłaniało wyprawę bombową. W czasie spotkania z myśliwcami niemieckimi piloci polscy zestrzelili cztery Focke Wulfy 190 na pewno, jeden prawdopodobnie a pięć uszkodzono.*

20 *s i e r p n i a : Polskie samoloty myśliwskie przeprowadzały patrole ofensywne. Tegoż dnia dwa dywizjony polskich myśliwców osłaniały wyprawę bombową.*

22 *s i e r p n i a : Polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzały kilkakrotnie wymiatanie nad terenem zajętym przez nieprzyjaciela oraz patrole ofensywne. Następnie polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową. Wywiązała się walka w czasie której piloci polscy zestrzelili trzy Focke Wulfy 190, jeden prawdopodobnie a dwa uszkodzili.*

23 *s i e r p n i a : Ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Charków.*

Nowości lotnicze

Wszyscy komentatorzy działań lotniczych jednogłośnie stwierdzają, że Luftwaffe osłabła do tego stopnia, iż nie jest już w stanie przeciwstawić się jakiejkolwiej alianckiej akcji powietrznej na jakimkolwiek froncie. Jednak jeszcze rok temu Luftwaffe miała pewnych 5000 maszyn pierwszej linii, na skutek zaś przejścia z masowego wytwarzania bombowców na wytwarzanie myśliwców, niemiecka produkcja powinna była wzróść o co najmniej 25% miesięcznie. Mimo to wszystko *air superiority*, przewaga powietrzna odczuwać się daje wyraźnie zarówno po stronie rosyjskiej, jak też i po stronie Wielkiej Brytanii czy na froncie południowym. Nasze obliczenia, które nieraz przedstawialiśmy czytelnikom, traktując wszelkie cyfry z dużą wstrzemięźliwością, wydawały się z góry wskazywać na przyczynę tego zjawiska: nawet przy dużym stanie pierwszej linii, nawet przy jej wzroście — Luftwaffe nie jest zdolna obsłużyć wszystkich, na tak olbrzymiej przestrzeni rozbudowanych frontów.

Niedawno wyraziliśmy przypuszczenie, że skierowanie przez Goeringa czy też Milcha rezerwy strategicznej lotniczej w sile około 300-400 myśliwców na front śródziemnomorski jest czerpaniem morza łyżeczką. Rzeczywiście, owa rezerwa strategiczna utonęła bez śladu, samoloty zostały zniszczone częściowo na ziemi, częściowo w powietrzu i prawdziwej obrony w powietrzu ani brytyjskie ani amerykańskie samoloty nie napotkały. Wyraziliśmy przypuszczenie, że w następnym stadium operacji, już nad lądem italskim pojawią się zarówno myśliwce jak i bombowce niemieckie w większej ilości niż poprzednio, lecz jeszcze ciągle w niewystarczającej liczbie.

Nasze obliczenia sprawdziły się dotychczas tylko częściowo. Kosztem wycofania eskadr z niebezpiecznego frontu rosyjskiego, eskadry średnich bombowców niemieckich pojawiły się nareszcie na tym froncie i usiłują interweniować na samym morzu, atakując szlaki transportowe Sprzymierzonych. Jednak wyniki tych działań są minimalne, a procent strat w alianckim shippingu zmniejszył się raczej, niż zwiększył. Flota inwazyjna pozostaje dalej nietknięta i może operować swobodnie, tak dalece swobodnie, że w tej chwili wobec grożących dalszych ofensyw na wybrzeża europejskie Morza Śródziemnego, prasa "osi" wskazuje aż pięć możliwych miejsc uderzenia, z których niektóre leżą w zasięgu nie tylko lotnictwa lecz nawet i floty włoskiej. Dodajmy tutaj fakt, iż w czasie ewakuacji niemieckich wojsk z Sycylii, odegrały rolę raczej armaty niż samoloty "osi". To w dalszym ciągu pozwala nam przypuszczać, że mimo wysiłku ze strony dowództwa niemieckiego, by ewakuację uczynić jak najbardziej efektywną, nie można było jednak sięgnąć do pomocy Luftwaffe.

Tymczasem ofensywa Sprzymierzonych pokrywa coraz dalsze obszary Niemiec i coraz boleśniej bije w Italię. Najbardziej interesujący wypadek z dziejów licznych ataków bombowych stanowi sprawa Wiener Neustadt. Zaatakowanie Wiener Neustadt było nie tylko strategicznie doskonale przeprowadzone, zapewniając z góry przedsięwzięciu duże powodzenie na skutek zaskoczenia, lecz równocześnie było jednym z najbardziej bolesnych ciosów wymierzonych wprost w produkcję myśliwców niemieckich. Przypuszczać należy, że atak ten, który z konieczności w sile swej musiał być ograniczony, dał jednak w wyniku zniszczenie co najmniej półmiesięcznej produkcji tej fabryki, oraz osłabienie jej produkcji na dalsze trzy miesiące. Naturalnie dokładne wyniki nie są nam znane. Jednakże przypuszczać dalej należy, że uszkodzone zostały najbardziej żywotne części fabryki. Obrona była niezwykle słaba, jak zawsze w przypadku zaskoczenia.

Zarówno siły lotnicze marszałka Teddera jak i bombowce z wysp brytyjskich atakują bez przerwy. Wachlarz celów rozrzucony jest od Norwegii po Italię i Grecję. Zasługuje na szczególną uwagę fakt, że ostatnio zarówno lotnictwo brytyjskie jak i amerykańskie, szczególnie z wysp brytyjskich niezwykle silnie atakuje niemieckie lotniska w północnej Francji. Ma to swą wymowę.

Stojąc wobec faktu niewątpliwego osłabienia Luftwaffe, nie możemy oprzeć się pokusie przypomnienia, że miała ona być środkiem do bardzo ambitnych celów. Miała wywalczyć panowanie nad światem. Miała odegrać w świecie "nowego ładu" rolę Pizarra. Miała zdobyć dla Niemiec to, co kiedyś zdobyła po pokonaniu floty hiszpańskiej dla Wielkiej Brytanii jej *Navy*. Luftwaffe będąc w roku 1939 jedyną i najliczniejszą, bo pięciokrotnie silniejszą od wszystkich flot powietrznych Europy razem /z wyjątkiem Rosji/, miała opanować kluczowe bazy między Europą a Azją. Hitler przeczuł i obliczył przy pomocy swych geopolityków zasady nowej ery politycznej, w którą świat wszedł z dniem 1 września 1939 roku: ery przewagi powietrza nad lądem i przede wszystkim morzem. Gdy do roku 1939 klucz panowania nad światem leżał w portach, przesmykach, kanałach, cieśninach i wyspach — po wrześniu znalazł się nagle na szeregu węzłów lotniskowych rozrzuconych między Wilnem a Suezem.

Łańcuch ten, jak wspomnieliśmy wyżej zaczyna się w Polsce. Ogniwo polskie jest najbardziej istotne, gdyż kluczowe do pozycji kluczowych. Mając Polskę, można kontrolować wszystkie ogniwa łańcucha, z których najważniejsze są: bazy bessarabsko-mołdawskie, bazy zachodnio-tureckie, bazy syryjskie i irackie. Ogniwa tego systemu są ściśle splątane ze sobą i nie można ich traktować niezależnie od siebie. Wyłamanie jednego ogniwa powoduje załamanie się całego systemu. Fakt ten, jak i samo położenie owych kluczowych pozycji musi wpłynąć na zupełną zmianę politycznego oblicza świata.

Ani Luftwaffe, ani RAF, ani lotnictwo amerykańskie, ani nawet rosyjskie, nie może dziś samodzielnie podjąć się kontroli baz i szlaków powietrznych, decydujących o wszelkich komunikacjach świata na lądzie i morzu, no i naturalnie w powietrzu. Technicznie przerasta to zadanie siły największej nawet organizacji państwowej — najpotężniejszego Commonwealth. Stanowi zbyt wielkie obciążenie i zmuszałoby do utrzymywania na stałe nieprawdopodobnej ilości lotnictwa wojennego i transportowego. To właśnie narzuci światu konieczność zbiorowego bezpieczeństwa, to właśnie narzuci światu konieczność współpracy na zasadzie dobrej woli w stosunkach międzynarodowych. Reguły, które rządzić będą nowym światem są równie niezłomne, jak reguły, które rządziły światem minionym, światem przewagi morza nad lądem. Są równie jak i te naturalne, wypływające z niezmiennych praw geografii.

Brak zrozumienia dla tych spraw może kosztować Polskę bardzo wiele. Polityka lotnicza, przez swą bezwzględną przewagę i siłę egzekutywy, zadominuje nad wszystkimi innymi względami politycznymi.

Podobnie jak Hitler planował umiędzynarodowienie powietrza dla celów górowania Niemiec nad innymi narodami, tak dzisiaj umiędzynarodowienie powietrza ma w przyszłości służyć dobru wszystkich narodów. Narody i państwa muszą jednak zapłacić za to dobrowolnym uszczupleniem swych praw suwerennych. Wypływa to logicznie z przesłanek politycznych na jakich się umiędzynarodowienie powietrza opierać musi: *na międzynarodowej kontroli, która sięgnie głęboko w życie wewnętrzne każdego narodu i państwa.*

Rzecz jasna w organizacji międzynarodowej, opartej jednak na zasadach narodowościowych, nie ma miejsca na takie przeżytki z lat przedwojennych jak rozdział lotnictwa cywilnego od wojennego. Są to rzeczy nierozdzielne pod każdym względem, o tym wie każdy początkujący mechanik. Nie zawsze wiedzą ludzie polityki.

Świat przeszłości zapadł w ciemność, świat przyszłości jest naszym celem, o który bijemy się i bić się będziemy aż do zwycięstwa. Ten świat o wielkich wartościach etycznych, ten świat dobrej woli w stosunkach między ludźmi i narodami będzie wybudowany na ofierze krwi, nie na targach politycznych.

M. J. GORDON

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 1.VII.1943 do 31.VII.1943

Lotnictwo myśliwskie	
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela:	
pewnych	11
prawdopodobnych	2
uszkodzonych	3
Osłona wypraw bomb., wymiatanie, rozpoznanie żeglugi npla, patrole ofensywne, intruderskie i nocne oraz osłona łodzi ratunkowych.	

Lotnictwo bombowe	
Ilość wypraw:	Łączna ilość samolotów:
30	223
Główne cele: Akwizgran, Essen, Hamburg, Kolonia. Minowanie wód npla. Atakowanie żeglugi npla.	

Razem od początku działań do 31.VII.1943 na terenie Anglii i Bliskiego Wschodu

zestrzelono samolotów nieprzyjaciela:	
pewnych	559
prawdopodobnych	150
uszkodzonych	183

Ilość wypraw:	Łączna ilość samolotów:
563	5596
Dywizjon w D-twie Obrony Wybrzeża prawdopodobnie zatopił 6 i uszkodził 7 okrętów podwodnych.	

Po kampanii sycylijskiej

W dniu 17 sierpnia niemieckie naczelne dowództwo wydało komunikat sumujący rezultaty kampanii sycylijskiej. Jak wszystkie bitwy, nawet przegrane, i sycylijską także, niemieckie dowództwo pośpieszyło już zaliczyć do "historii oręża niemieckiego." Nie ma wątpliwości, że Sycylia będzie figurowała w historii drugiej Wojny Światowej, podobnie jak Stalingrad, Tunis i jakieś inne jeszcze przyszłe etapy pogromu niemieckiej potęgi wojennej.

* * *

Znaczenie opanowania Sycylii nie polega wyłącznie na zdobyciu przez Aliantów doskonale położonej wyspy — bazy do dalszych operacyj w basenie Morza Śródziemnego, ale przede wszystkim na tym, że jest to niezmiernie ważne osiągnięcie techniczno-operacyjne.

Jest to pierwsza w tej wojnie w pełni udana operacja desantowa na wielką skalę. Nie znamy na razie dokładnie liczby dywizyj brytyjskich, kanadyjskich i amerykańskich, jakie lądowały i były użyte w walkach w ciągu kampanii, ale prawdopodobnie niemieckie źródła nie bardzo przesadziły, określając ją na 10 dywizyj w pierwszych dniach operacyj. Jest to więc siła poważna, jeżeli chodzi o zapotrzebowanie środków transportowych dla jej przewiezienia, zaopatrywania w ciągu walki i ewakuacji. Trzeba do tego dodać, że armia aliancka na Sycylii prawdopodobnie znalazła na miejscu niewiele żywności i wszystko trzeba było dowozić, nie wyłączając szeregu rzeczy najpilniej potrzebnych dla zaopatrywania czteromilionowej ludności Sycylii, której utrzymanie spadło na barki Aliantów.

Operacja sycylijska wykazała więc dobitnie, że Alianci rozporządzają dostatecznie dużym tonażem specjalnych statków, aby podjąć i skutecznie przeprowadzić desant bardzo znacznych sił. Wiemy z ostatniego komunikatu brytyjsko-amerykańskiego o wojnie podwodnej, że straty na morzu w czasie operacyj na Sycylię były bardzo małe. Praktycznie biorąc, flota inwazyjna użyta w tej operacji istnieje prawie w całości nienaruszona i rzecz jasna jest w dyspozycji do dalszych działań tego typu — tutaj lub gdzie indziej.

W czasie desantu sycylijskiego wypróbowane zostały wszystkie nowe typy statków i łodzi desantowych oraz sposób masowego ich użycia. Już sama techniczna strona desantu, kiedy w dniu 10 lipca, t.j. w pierwszym dniu inwazji, użyto blisko 3000 różnych okrętów, statków i łodzi desantowych naraz — jest arcydziełem planowania i wzorem wykonania tak skomplikowanego planu.

Okazało się bowiem, że to, co dotychczas uważane było za najtrudniejszą część każdej operacji desantowej, t.j. załadowanie wojskiem i sprzętem wielkiej armady inwazyjnej, przebycie przez nią cieśniny morskiej szerokości od 100 do 250 km. i jednoczesne wylądowanie na 100-kilometrowym odcinku brzegu nieprzyjacielskiego — jest zupełnie możliwe. Oczywiście panowanie w powietrzu i na morzu było niezbędnym warunkiem udania się operacji. Alianci mieli je w pełni.

Cokolwiek można by powiedzieć o różnicy między fortyfikacjami włoskimi na Sycylii a niemieckimi na wybrzeżu francuskim oraz o różnicy wartości wojsk, które broniły Sycylii a bronią teraz wybrzeży, n.p. pomiędzy Brestem, Cherbourgiem, Calais i Helder w Holandii — trzeba, w świetle operacji sycylijskiej, bardziej optymistycznie, niż to było możliwe dwa miesiące temu, oceniać możliwości inwazji kontynentu europejskiego z baz w Wielkiej Brytanii.

A to jest niezwykle ważny wniosek, zwłaszcza dla Niemców. Mogą oni dla celów propagandowych pomniejszać znaczenie operacji sycylijskiej, jednak niemieckie dowództwo, któremu nigdy nie brakło realizmu w ocenie zjawisk wojennych, musi obecnie bardzo poważnie liczyć się z dalszymi działaniami desantowymi na zachodzie, co powiększy już istniejące trudności. Trzeba bowiem znaleźć siły i trzymać je w pogotowiu dla operacji, czekających na zachodzie, wtedy, kiedy na wschodzie wiąże wielkie masy żołnierza potężna ofensywa sowiecka.

Liczne wiadomości wskazują, że Niemcy pośpiesznie i na wielką skalę przegrupowują swoje dywizje na zachodzie, i że trzyletni względny spokój w "europejskiej twierdzy" Hitlera minął — prawdopodobnie bezpowrotnie. Powoli, lecz nieuchronnie realizuje się to, co przez wszystkich niemieckich generałów i teoretyków wojskowych zawsze uważane było dla Niemiec za strategiczną klęskę: wojna na dwa fronty.

Właściwie militarne położenie Niemiec jest jeszcze gorsze, bo zanim "drugi front" począł nabierać mniej lub więcej wyraźnych kształtów, istniał już i ciężko zaczął ważyć na położeniu państw Osi — front wojny lotniczej. Bombardowania Niemiec, a ostatnio i Włoch są prowadzone przez Aliantów w skali, z którą z pewnością kierownictwo niemieckie nie liczyło się i do której nie jest przygotowane. Zasięg lotnictwa alianckiego oraz śmiałość i inicjatywa, z jaką zwłaszcza Amerykanie przeprowadzili ostatnie naloty /Ploesti, Wiener Neustadt, Regensburg/ dają Niemcom dokładne pojęcie o tym, co się stanie, gdy Alianci opanują bazy lotnicze we Włoszech. Już posiadanie samej Sycylii zwiększa poważnie możliwości bombardowań przez Aliantów przemysłu niemieckiego w Austrii i południowych Niemczech.

Może jeszcze większy wpływ, niż na produkcję sprzętu wojennego, bombardowania wywierają na moral ludności niemieckiej, która zaczyna rozumieć, że jest ścigana, i że na prawdę wkrótce nie będzie dla niej na całym obszarze Europy miejsca, gdzie nie dosięgnęłyby jej bomby, pożary i ruiny. Goebbels zapewnia wprawdzie, że duch ludności niemieckiej jest niezachwiany i że — jeżeli Brytyjczycy wytrzymali bombardowania, to z pewnością przetrzymają je i Niemcy; ale jest duża różnica w natężeniu bombardowań alianckich i niemieckich, i istnieje także pewna granica wytrzymałości nerwów ludzkich, niewątpliwie i także niemieckich.

W każdym razie, jak wiemy, Berlin jest już ewakuowany tylko na zasadzie nerwowej reakcji — po Hamburgu. Jeżeli zresztą Niemcy mają dobre nerwy, to nie mogą nimi pochwalić się na przykład Węgrzy, Rumuni i przede wszystkim Włosi. Jedno bombardowanie Rzymu spowodowało przyśpieszenie odejścia Mussoliniego, drugie — ogłoszenie Rzymu miastem otwartym. Bombardowanie wielkich miast na północy Włoch zupełnie zdezorganizowało przemysł i komunikację oraz spowodowało masową ucieczkę ludności. Tempo szybkie.

Tak więc Alianci dysponują już dwoma wypróbowanymi sposobami prowadzenia wojny: bombardowaniami lotniczymi i desantem morskim. Pierwszy stosowany jest od dłuższego czasu i na wielką skalę; drugi — na razie dwukrotnie, w Afryce Północnej w listopadzie ubiegłego roku i ostatnio na Sycylii.

Zbliża się teraz moment, gdy może i musi nastąpić moment użycia w walce wielkich sił lądowych Aliantów.

* * *

Gdy więc kampania sycylijska po 39 dniach dobiegła pomyślnego końca, wszyscy zadają sobie pytanie, jakie będzie następne działanie Aliantów na zachodzie, albowiem nikt nie wątpi, że nie tylko nie będą oni zwlekać z podjęciem dalszych operacyj na zachodzie, ale przeciwnie, wykorzystując swoje powodzenie na Sycylii oraz związanie Niemców na wschodzie, z tym większą szybkością i energią poprowadzą dalszą ofensywę na kontynent. Niemały wpływ musi mieć tutaj stanowisko ZSRR, którego kierownictwo głośno i bardzo niedwuznacznie dopomina się o "prawdziwy" drugi front na zachodzie, który zdołałby odciągnąć kilkadziesiąt dywizyj niemieckich ze wschodu, zapewniając tym sposobem większy sukces prowadzonej wielkim wysiłkiem i kosztem dużych strat ofensywie.

Jeżeli Alianci zdecydują się utworzyć taki szeroki drugi front, to następne działania desantowe muszą być przeprowadzone na znacznie większą skalę, niż inwazja Sycylii, prawdopodobnie na kilku kierunkach.

Jest jasne, że z pośród tych możliwych kierunków jeden — południowy — według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie utrzymany. Trzeba spodziewać się, że Alianci wykorzystają Sycylię jako bazę do następnego desantu na półwysep włoski lub na Sardynię, albo do działania w obydwu kierunkach. Nowoczesne wielkie armie zbyt są związane z bazami zaopatrzenia, aby można było łatwo i szybko zmieniać kierunek ich działania. Nie ma zresztą wątpliwości, że od trzech lat prowadzona kampania afrykańska jest jedną z podstaw strategii alianckiej, mającej na celu pobicie naprzód słabszego włoskiego przeciwnika.

Włochy są prawie u kresu swych sił i na granicy zdolności prowadzenia dalszej wojny, ale skrępowane obecnością w kraju poważnej ilości dywizyj niemieckich, mając co najmniej połowę swoich wojsk na Bałkanach i we Francji na łasce Niemców, zależne całkowicie od kontynentu w dostawach węgla i materiałów pędnych — nie mają swobody działania i nie mogą wystąpić z wojny natychmiast chociażby nawet bardzo tego chciały. Trzeba je do tego zmusić i to siłą oręża.

Wojnę jest łatwo stosunkowo rozpocząć, zwłaszcza w państwach autorytatywnych, gdzie dyktator może nie liczyć się z opinią i wolą narodu — ale bardzo trudno z niej wycofać się, nawet wówczas, gdy przegrana jest oczywista. Wycofanie się z wojny oznacza bowiem nieuchronnie upadek reżimu, oraz chaos polityczny i gospodarczy. W podobnej sytuacji znajdują się obecnie pozostałe państwa — satelici Niemiec: Finlandia, Rumunia i Węgry, które nie mają żadnej możliwości powzięcia samodzielnej decyzji wycofania się z wojny, zwłaszcza że z powodu różnych skomplikowanych przyczyn politycznych nie mogą im być zaproponowane jakiekolwiek określone warunki pokoju i gwarancje.

Tak tedy atak na Włochy wydaje się nieuchronny, pomimo że wykazują one wszelkie objawy wewnętrznego rozkładu politycznego. Alianci mają tutaj dosyć dużą swobodę wyboru miejsca pierwszych lądowań i dalszych celów i kierunków. Ponieważ Włochy nie są zdolne do poważniejszego oporu z powodu słabości sił na półwyspie, a zwłaszcza lotnictwa, główny ciężar walki powinien przypaść dywizjom niemieckim, podobnie jak to było na Sycylii.

Na południu Italii nie stać Niemców na nic innego, jak tylko na opóźnianie, gdyż dla wydania walnej bitwy nie mają ani dostatecznych sił, ani warunków. Niemniej po przykładzie Tunisu i szczególnie Sycylii można uważać opóźnianie za akcję bardzo skuteczną, nawet przy użyciu małych sił, zwłaszcza, że teren południowych Włoch znakomicie się do takich działań nadaje. Prawdopodobnie też Alianci zastosują raczej jakieś śmielsze i bardziej szybkie działanie, niż stopniowe opanowywanie półwyspu Apenińskiego od południa ku północy wzdłuż jego dłuższej osi.

Inna rzecz, że dla Włoch takie opóźniające działanie pociągnęło by kompletną ruinę kraju, który byłby systematycznie niszczony, poczynając od południa. Dlatego sama taka perspektywa może zmusić rząd włoski do kapitulacji wobec Aliantów, nawet jeżeli jej następstwem będzie wojskowa okupacja północnych Włoch przez Niemcy.

Wypadki zresztą mogą potoczyć się różnymi torami. Jedno jest pewne, że Niemcy nie zrezygnują z północnych Włoch jako przedpola, na którym mogą stworzyć front obronny jeszcze dosyć oddalony od granic Rzeszy. Obserwowany napływ dywizyj niemieckich do północnych Włoch wyraźnie wskazuje na takie właśnie zamierzenia dowództwa niemieckiego.

Gdyby stopniowe i niewątpliwie powolne opanowywanie półwyspu Apenińskiego nie odpowiadało Aliantom, chociaż by dlatego, że zaangażowałoby to znów tylko niewiele dywizyj niemieckich, to mogą po zajęciu skrajnej południowej części półwyspu skierować się na Bałkany. Cieśnina Otranto oddzielająca Włochy od Albanii ma tylko 85 km. szerokości. Trzeba jednak uwzględnić, że zaledwie tylko kilka tygodni pozostaje do surowej zimy bałkańskiej, kiedy prowadzenie operacyj wojskami zmotoryzowanymi w trudnym terenie górskim jest praktycznie niemożliwe. Taka operacja byłaby do wykonania raczej na przyszłą wiosnę.

Znacznie korzystniej przedstawia się kierunek Sardynia — Korsyka — południowe wybrzeże Francji, gdzie nie ma poważniejszych przeszkód dla operacji nawet w zimie. Tego rodzaju działanie, zwłaszcza powiązane z dużym desantem na północnym lub zachodnim wybrzeżu Francji było by bardzo groźne dla Niemców i spowodowało by z ich strony pełne zaangażowanie wszystkich sił odwodowych na zachodzie, a może nawet odpływ wojsk ze wschodu.

Podstawową trudność przedstawiałoby tutaj uzgodnienie z operacjami na wschodzie, które mogłyby tymczasem zamrzeć. W ten sposób powstałoby ryzyko niepowiązanych operacyj, ułatwiających Niemcom manewrowanie siłami na t.zw. liniach wewnętrznych. Pomimo znacznych odległości pomiędzy frontem wschodnim a zachodnim, Niemcy — jak tego dowodzą obserwacje ubiegłej zimy — są w stanie przerzucać dywizje z zachodu na wschód i odwrotnie bardzo szybko: w ciągu 10 — 14 dni. Czas więc nagli.

* * *

Obecne ogólne położenie wojskowe stwarza dla Aliantów wyjątkowo dobre warunki dla rozwinięcia sił lądowych na zachodzie i południu Europy i do rzucenia ich w walkę o panowanie na lądzie. Dotychczasowy przebieg działań wskazuje, że jest to zupełnie nieodzowne dla pobicia Niemiec. Panowanie bowiem na morzu i w powietrzu jest coprawda niezwykle ważnym, ale tylko wstępnym i niedecydującym warunkiem zwycięstwa.

Ze względu na naturalne właściwości, zasoby oraz położenie geograficzne, byłby wprawdzie do pomyślenia podział zadań strategicznych między Aliantami i ZSRR w taki sposób, że Alianci prowadzą wojnę na zachodzie przy pomocy lotnictwa bombowego i floty, a ZSRR głównie wojskami lądowymi. Doświadczenie jednak wskazuje, że udział poważnych sił lądowych na zachodzie jest zupełnie niezbędny.

BRONISŁAW NOWICKI

Z LOTNIKAMI

Dnia 13-14 bm. Dywizjon Dębliński obchodził swoje święto. Wziął w nim udział Naczelny Wódz gen. Kazimierz Sosnkowski. Dnia 13-go był obecny na "Apelu Poległych," następnie odbył dwugodzinną odprawę z oficerami Dyonu, w czasie której powiedział, iż pragnie "nawiązać kontakt nie tylko uczuciowy, ale i rzeczowy."

Następnego dnia gen. Sosnkowski uczestniczył w nabożeństwie. Po nabożeństwie dekorował zasłużonych lotników Dywizjonu i odebrał defiladę. Później wizytował punkty rozproszenia, przyglądał się pokazowi lotów grupowych w różnych szykach i lądowaniu pojedyńczemu 12 samolotów w czasie 2 min. 18 sek.

W czasie całego pobytu Naczelny Wódz spędził wiele czasu na rozmowie z oficerami, podoficerami i szeregowcami i wygłosił do nich następujące przemówienie:

Koledzy,

Każde święto lotnicze przemawia do mnie w sposób osobliwy i wzruszający. Pozornie program i formy święta są takie same jak w oddziałach wojska, ale atmosfera obchodu zawiera jakieś swoiste pierwiastki, które wywołują myśli i wspomnienia o tym co się kochało i kocha, co jest szczególnie drogie i sercu i duszy człowieka.

Opowiem Wam jakie zdarzenie przekonało mnie o tym, że więzy przyjaźni i koleżeństwa istniejące w jednostkach bojowych lotnictwa, są równie głębokie i silne, jak najbliższe więzy rodzinne.

Dwa lata temu, po dłuższym pobycie w szpitalu wojskowym, wracałem do Londynu samochodem. Byłem ubrany po cywilnemu. U wylotu głównej ulicy pewnego miasteczka angielskiego uwagę moją zwrócił orszak pogrzebowy, idący za trumnami czterech polskich lotników. Postanowiłem dyskretnie i niepostrzeżenie odprowadzić chłopców na miejsce wiecznego spoczynku.

Na polskim cmentarzu lotniczym, podczas uroczystości pogrzebowej, tak przejmującej w swej żołnierskiej, ubogiej prostocie, stałem na uboczu, patrząc z daleka na szeregi niskich krzyżyków, z wypisanymi nazwiskami poległych. Gdy już pogrzeb dobiegł końca i uczestnicy się rozeszli, zostałem jeszcze przez czas pewien, bo jakoś trudno mi było opuścić samotny żołnierski cmentarz. W pewnej chwili, rzuciwszy okiem w stronę wyjścia, ujrzałem dwóch lotników, jednego oficera i jednego podoficera, którzy szli zwolna ku grobom, każdy w swoją stronę, nie dostrzegając mojej obecności. Każdy z nich usiadł przy jednej z mogił, niby obok kogoś żywego i nachyliwszy się ku ramionom krzyża zaczął coś mówić półgłosem, tak jakby chciał zwierzyć się i podzielić myślami ze zmarłym kolegą.

Było w tej scenie coś, co przejmowało do głębi i chwytało za serce, coś wstrząsającego swoją szczerością i wewnętrzną prawdą. Jeden z lotników wstał wkrótce i przed odejściem lekkim pieszczotliwym ruchem pogładził krzyż na mogile niby żegnając się ze zmarłym po skończonej rozmowie. Na widok ów niezwykły ścisnęło mnie coś za gardło i w mgnieniu oka uprzytomniłem sobie prawdę — waszą lotniczą prawdę.

Wiem teraz, że dla Was każdego nowa szczerba w szeregach Waszych, każda wiadomość o walce, przygodach czy losach kolegów, jest historią Waszego wspólnego wysiłku, wspólnej radości, czy wspólnego smutku. Ilekroć każdy z Was leci na zadanie bojowe, to wie, że tam w Dywizjonie czekają na niego wierne na śmierć i życie serca, że koledzy patrzą na wskazówki zegarka i liczą minuty do chwili powrotu, że mechanicy niecierpliwie krążą koło hangarów, tocząc zaciętcie fachowe dyskusje i poznając już z nieprawdopodobnej wysokości, czy to "jego" maszyna wraca i w jakim stanie. I tak jest na codzień, nie od święta, o każdej porze dnia i nocy, gdy lotnicy są w pogotowiu bojowym.

Dywizjon Wasz ma już niejedną piękną kartę w dziejach polskiego lotnictwa. Znaczna ilość strąconych samolotów wroga, odznaczenia bojowe zdobyte pięknym, żołnierskim wysiłkiem, liczne nazwiska serdecznych Waszych przyjaciół poległych w nieustępliwej walce, świadczą wymownie o duchu jaki panuje w dywizjonie. O każdym z tych poległych, o każdym z tych odznaczonych można napisać wiele, a każde słowo zawierałoby więź głęboką, prostą i piękną o życiu żołnierza-tułacza i o jego skrzydlatej epopei.

Któż zliczyć zdoła, czy więcej jest krzyży na piersiach lotników polskich, czy na cmentarzach rozsianych po brytyjskiej ziemi i po świecie całym?

Niezmiernie się cieszę, że dzień Waszego święta wśród Was spędzić mogłem. Są to na prawdę słowa szczere i z serca płynące. Chciałbym koniecznie powiedzieć Wam dzisiaj coś miłego, znaleźć słowa, które zbliżają i rodzą uczucie przyjaźni.

Chcę przede wszystkim zapewnić Was w imieniu dalekiej Ojczyzny, która jest Waszą matką i której Wy jesteście najdroższymi dziećmi, że w Kraju Was otacza uznanie i sława. Zarówno głosy prasy tajnej, jak i słowa przesyłane z szeregów Armii Krajowej, świadczą wymownie, że jesteście walczącej Polsce wiarą, miłością i nadzieją. Wierzajcie mi, że żaden Wasz czyn, żadna cicha ofiara Wasza nie pójdą w zapomnienie, a Wy będziecie pierwszymi, których Polska wyzwolona powita w triumfie i radości.

W dniu święta Waszego dywizjonu życzę Wam szczęścia żołnierskiego, które pomnoży Waszą chwałę i umożliwi dokończenia dzieła zwycięstwa nad wrogiem winnym niezliczonych zbrodni wobec naszych najbliższych. Życzę Wam byście w twardej Waszej służbie u boku sprzymierzonego lotnictwa brytyjskiego, zyskali jak najwięcej doświadczenia i wiedzy i stali się Polską gwardią lotniczą, z której powstanie w przyszłości potężna armia skrzydlata. Niechże piękny duch bojowego koleżeństwa i tradycja lotniczej solidarności stanie się i teraz i w wolnej ojczyźnie podstawą moralną pracy zespołowej gdzie wszyscy za jednego, jeden za wszystkich gotowi są do ostatka pracować i walczyć.

Polak to wspaniały typ człowieka, musi się tylko jeszcze wyrzec zbyt wybujałego indywidualizmu i nauczyć się solidarności w pracy zbiorowej, którą jest fundamentem każdego doniosłego dzieła we wszystkich dziedzinach życia narodu i państwa.

Wielka praca jest jeszcze przed nami, liczne trudności leżą na drodze naszej, potrzebne są olbrzymie jeszcze wysiłki. Jeżeli jednak Polacy zgodnie i społem, z odwagą i samozaparciem dźwigać będą dalej brzemię, jakie Sędzia Najwyższy złożył na ich barki, to posiew krwi przelanej wyda bujne plony, gdy czas żniwa nadejdzie.

Chungking — wojenna stolica

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Typ starego przewoźnika na Jang-tze

Chungking — stolica wolnych Chin; Chungking — centrum politycznego i gospodarczego życia kraju i wojennych działań przeciw wrogowi; Czungking — siedziba centralnego rządu chińskiego i reprezentantów Zjednoczonych Narodów.

Jako wojenna stolica, miasto to nie ma chyba równego sobie na całym świecie. Położone jest na wąskim, górzystym półwyspie, między rzekami Kialing i Jangtze, tworzącym wzniesienie 236 mtr. ponad poziomem morza. Skalisty fundament nadaje się doskonale do budowania schronów przeciw atakom powietrznym, co niewątpliwie stanowiło główną przyczynę, że mieszkańcy Czungkingu zachowali spokój w czasie okropnych bombardowań japońskich od 1939 do 1941 roku. Klimat, jak gdyby chcąc także przyczynić się do obrony Czungkingu, spowija miasto zasłoną mgły przez znaczną część roku.

Całe miasto to sieć krętych uliczek i zaułków zawile wspinających się po bokach wzgórz, to opadających w dół. Gdy rząd chiński przeniósł się do Czungkingu w 1938 r., władze miejskie zajęły się unowocześnianiem prowizorycznej stolicy, ale niestety, ciągłe bombardowania położyły kres tym wysiłkom, tak że dzisiejszy Czungking odbiega daleko od tego, co by było można nazwać miastem nowoczesnym.

Do dzisiejszego dnia widać ślady bombardowań, pomimo że od 1941 r. Japończycy są zbyt zajęci na innych frontach, żeby je móc prowadzić dalej. Niektóre dzielnice miasta są tylko częściowo odnowione. Ze względu na możliwość powtórzenia się japońskich ataków, nie wznosi się tu żadnych kosztownych, reprezentacyjnych budynków, i ulice miasta, ze szeregami niskich domów skonstruowanych z gliny i bambusu, mają wygląd jakiegoś tymczasowego obozu. Dodatnią stroną tej "nowoczesnej" architektury chińskiej jest to, że domy te są bardzo tanie i łatwe do odbudowania.

Jeszcze w 1927 r. Czungking nie znał żadnego wehikułu na kołach; nawet taczka nie mogłaby się poruszać po wąskich i przepaścistych uliczkach ówczesnych. Obecnie widzi się nowoczesne auta, tysiące "riksz" i dwu-kołowe wózki ciągnione przez małe koniki seczuańskie /rasa górska, właściwa tej prowincji chińskiej/. Z powodu jednak małej ilości ulic, gdzie mogą one krążyć, dotychczas bardzo popularnym środkiem komunikacji jest rodzaj lektyki-krzesła, zawieszonego między dwoma drągami bambusowymi.

W pierwszych dniach po przyjeździe wielu cudzoziemców skarży się na niewygodę tego rodzaju transportu, oraz na poczucie skrępowania, jakie sprawia to podróżowanie na plecach ludzkich. Krótki pobyt zmienia jednak szybko ich pogląd, gdyż w Chinach jest to ogólnie przyjętym zwyczajem. Poza tym jest to dużo wygodniejsze, niż wdrapywanie się na niekończące się schody, które tworzą większą część Czungkingu. Szczególnie podczas upałów tego rodzaju próba mogłaby wstrząsnąć najsilniejszym sercem i zniechęcić najenergiczniejszego Europejczyka do jakiegokolwiek wysiłku.

Cechą charakterystyczną Czungkingu jest zupełny brak koloru.



W czasie jednego z bombardowań Chungkingu

Nie przypomina on w niczym pełnego kolorów egzotycznego Wschodu, o którym się często czyta w powieściach. Tu widzi się tylko przytłaczającą szarą masę skalną, szare domy; nawet nieliczne drzewa mają szare zabarwienie. Ludzie przesuwający się ulicami w jednostajnych, niebieskich, długich sukniach, zdają się zlewać w jedno z tym martwym tłem. Jeśli by jakiś kompozytor usiłował przedstawić ten obraz, musiałby stworzyć jednolitą monotonię dźwięku p.t. "Szara symfonia."

Organizacja czyścicieli ulicznych w rzeczywistości nie istnieje i ulice tutejsze nie przedstawiają pociągającego widoku. Prawda, że Generalissimo Chiang wydał rozkaz zabraniający jedzenia i palenia na ulicach, ale jak ze wszystkim innym w Chinach, upłynie długi okres czasu, zanim masy przyzwyczają się do nowego porządku.

Uliczki i zaułki czungkińskie srogo dają się odczuć nieprzyzwyczajonym nozdrzom. Przestrzeń między domami jest jednym wielkim śmietniskiem, na które wyrzuca się wszelkie bezużyteczne odpadki; dostarczają one pożywienia milionom żarłocznych szczurów i chmarom much rozmaitej wielkości i koloru. Chatki, małe kwadratowe koszyki zbudowane z mat, mieszczą w swoim wnętrzu zadziwiającą ilość osób w minimum przestrzeni. Dzieciaki w łachmanach siedzą w kuczki na podłodze z ubitej ziemi, albo bawią się przed domami na kupie śmieci. Kobiety spędzają wolny czas siedząc przede drzwiami, polując na insekty w fałdach różnych części garderoby.

Ale każde miasto posiada takie zaułki, gdzie mieszka uboższa ludność i jeśli te czungkińskie są gorsze od innych, to trzeba wziąć pod uwagę, że poziom życia w Chinach jest o wiele niższy, niż w jakimkolwiek innym państwie. Trzeba jednak przyznać, że Rząd Chiński pomimo wielu innych bardziej ważnych zagadnień, stara się wszystkimi sposobami polepszyć warunki higieniczne miasta i jego mieszkańców.

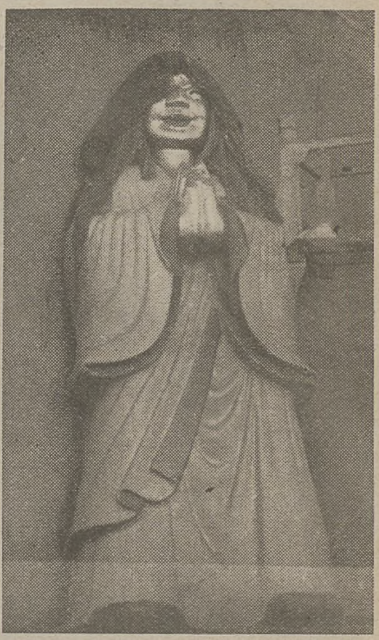
Z tego to miasta o podstawie ze skały płyną rozkazy kierujące sprawami całych Chin; tutaj są planowane poruszenia wojenne przeciw nieprzyjacielowi; tutaj jest planowana budowa nowego narodu na fundamentach przestarzałej kultury.

Tysiące ludzi śpieszy każdego poranka do biur w budynkach rządowych, tysiące małych sprężynek, które poruszają maszyną państwową. Niedopłacona, bardzo często niedożywiona, obciążona licznymi rodzinami, ta niewymieniana i niedoceniana masa szarych, bezimiennych ludzi wypełnia swój obowiązek. Oni to tworzą tę siłę, ten nieprzebity mur, który oparł się dotychczas japońskim atakom; oni to zasługują na miano prawdziwych bohaterów tej walki Chin przeciwko najeźdźcy.

Od wybuchu wojny na Pacyfiku ważność Czungkingu wzrosła stokrotnie. Daleki Wschód stał się częścią wszechświatowego frontu przeciw militarystom "Osi." Narody alianckie wydelegowały tutaj licznych obserwatorów wojskowych, dyplomatycznych przedstawicieli i korespondentów wojennych. Liczba cudzoziemców podskoczyła z 200 osób na przeszło 1,000. Amerykanie i Anglicy przeważają, ale mamy także całą masę innych narodowości: Rosjan, Francuzów, Czechów, Norwegów, Holendrów, i t.d.

W 1942 r. Polska otworzyła tu także placówkę dyplomatyczną. Pierwszymi Polakami którzy reprezentowali nasz kraj w tej wojennej stolicy byli p. J. Drohojowski i p. A. H. Kokczyński. W lutym 1943 r. przybył do Czungkingu pierwszy ambasador Polski w Chinach, Alfred Poniński.

Takie przepełnienie dyplomatami, wojskowymi i dziennikarzami spowodowało brak odpowiednich pomieszczeń dla ich ulokowania. Niektóre z ambasad, ustalonych w Czungkingu kilka lat temu, posiadają swoje własne rezydencje. Reszta jest rozproszona, i mieści się przygodnie, gdzie kto mógł znaleźć jakiekolwiek pomieszczenie; najpóźniej przybywający mieszczą się w jednym z tutejszych "luksusowych" hoteli, daleko odbiegających od ideału komfortu. Prasa mieści się w t.zw. "Hotelu prasowym" — kompleksie małych budynków bambusowych z oddzielnymi pokojami dla każdego korespondenta.



Bogini-opiekunka żeglarzy na Jang-tze

Czungking nie posiada, jak inne stolice, czystych, dobrych kin, albo przyjemnych kawiarni, gdzie by można było spędzić wolny czas. Jedynym urozmaiceniem jest życie towarzyskie, które przedstawia raczej dziwny obraz dla każdego nowoprzybywającego do tego miasta. Tutejsza "*society*," to zbiorowisko najbardziej demokratyczne w świecie. Pieniądz czy stanowisko przedstawia tu bardzo małe znaczenie. Na zebraniach towarzyskich widzi się ludzi z różnych sfer — od ambasadorów do najskromniejszych urzędników firm handlowych; spotyka się różne rodzaje ubrań — ciemne garnitury i krótkie spodenki z otwartymi koszulami u panów, długie suknie i . . . spodnie u pań. Prawie wszyscy mówią do siebie po imieniu i cała ta mieszanina sprawia na niewtajemniczonym wrażenie jakiejś jednej wielkiej rodziny. Ale to tylko dla niewtajemniczonego. W rzeczywistości, Czungking jest, jak każde inne miejsce w świecie pełen intryg, zazdrości i plotek.

Prawie wszyscy mieszkańcy Czungkingu zrzędzą na to miasto. Jest to niemal ustalona moda. Każdy wzdycha do dnia, kiedy będzie mógł wreszcie opuścić tę "dziurę" i wyjechać gdziekolwiekbądź, byle jak najdalej. Dla każdego taki dzień nadchodzi i opuszczają oni progi czungkińskie z radością i uśmiechem — po to, by w krótkim czasie odkryć, że tęsknią za czungkińską szarzyzną, za tą międzynarodową mieszaniną biegunowo różnych typów, za tą tutejszą "atmosferą."

Skąd się to bierze? Dotychczas nikt nie znalazł jeszcze odpowiedzi na to pytanie. Zrzędzimy i przeklinamy, gdy jesteśmy tutaj — i chcemy powrócić, gdy jesteśmy daleko.

Może to ta niewytłumaczona siła przyciągająca, określana jako "Zew Wschodu"?

Chungking, Chiny, 5 czerwca 1943.

MAYA RODZIEWICZ

Po nocnym bombardowaniu



Ulica w ruinie



W piekle obozów koncentracyjnych

V.*

TO NAJGORSZE

Opisane powyżej obozy koncentracyjne przeznaczone były dla mężczyzn. Istnieją również analogiczne obozy dla kobiet. Najliczniejszy znajduje się w Rawensbruck /Meklenburgia/. Przebywa w nim obecnie ponad tysiąc Polek.

Aczkolwiek warunki obozu są straszne, dla wątlejszych organizmów śmiertelne, acz dozorczynie niemniej zwyrodniałe od Esesów, udręczają poddane swej władzy ofiary, stosując kary: ciemnica, polewanie wodą, publiczna chłosta, szczucie psami — na ogół obozy kobiece mają opinię znośniejszych niż męskie. Śmiertelność jest w nich mniejsza, istnieje możność przetrwania i powrotu, gdy z Oranienburga, Oświęcimia czy Manuthausen nikt nie powraca. Niemcom zależy więcej na zniszczeniu mężczyzn niż kobiet. Rozumują, że wystarczy, gdy wygubią mężczyzn, trzon i podstawę kraju. Skoro tego dokonają, kobiety zostaną nałożnicami Niemców i porodzą niewolników. Zresztą władze Rzeszy wciąż jeszcze nie doceniają znaczenia elementu kobiecego. Sądzą kobiety wszystkich krajów okupowanych według kobiet niemieckich, ograniczonych i pasywnych. Stąd też ta pozorna łaskawość. Pozorna, gdyż los pewnej ilości młodych Polek w obozach niemieckich jest gorszy od Oświęcimia czy Oranienburga. Los niektórych dziewcząt polskich jest tak straszny, że nie ma matki, która by nie wolała oglądać córkę na marach, niż w Helenowie. Co to jest Helenów? To miejscowość podłódzka, zamieniona przez hitlerowców w racjonalną rasistowską stację rozpłodową. Przeszły już przez nią setki polskich dziewcząt. Dziewczęta te starannie dobiera odpowiednia komisja. Dorodne, pięknie zbudowane, niewinne, jasnowłose, niebieskookie dziewczyny są tam przetrzymywane i jako "typy nordyckie" przymusowo łączone z odpowiednio fizycznie dobranymi Niemcami. Gwałt popełniony na bezbronnych, pilnie strzeżonych ofiarach /bywały usiłowania samobójstwa/ jest powtarzany pod kontrolą lekarską dopóki dziewczyna nie zajdzie w ciążę. Wtedy zostaje wywieziona do innego obozu w Rzeszy, gdzie pozostaje nadal pod kontrolą i opieką. Bezpośrednio po rozwiązaniu dziecko zabiera partia na wychowanie do luksusowego żłobka, matka przestaje być potrzebna. Nikt się o nią więcej nie troszczy. Jest już tylko siłą roboczą i jako taka zostaje odesłana na robotnicę do najbliższej fabryki. Przysporzyła partii członka, małego janczara, który powiększy szeregi *Hitler-Jugend*, sama staje się zwierzęciem jucznym, popychadłem, nałożnicą majstra lub fabrycznego dozorcy, pozbawioną wszelkich praw. Piękna, dumna polska dziewczyna.

O, tak, los dziewcząt helenowskich gorszy jest niż los oświęcimiaków, a bolesna matka polska słusznie więcej krwawych łez wylewa nad córką, niż nad synem. Śmierć nie jest złem sama w sobie. Cierpienie należycie przyjęte nie poniża, lecz uszlachetnia człowieka, i Polacy, których dzień wyzwolenia zastanie w obozach żywymi — wrócą w triumfie do swoich, wnoszeni na rękach rodaków. A dziewczęta?... Kiedykolwiek przyjdzie ów czekany dzień wolności, dla nich nadejdzie za późno. Tego, co przeszły, nikt nie odrobi, nic nie zmieni, nic nie zatrze. I straszno pomyśleć, że będą one nadal młodością samą, a życie ich już pozostanie wyinaczone, zwichnięte. Wyjątkowej siły i hartu ducha jednostki zdołają może odbudować je i przejść ponad straszliwym wspomnieniem. Ogół pozostanie wykolejony, zmarnowany, stracony. Pohańbione i pokrzywdzone jako kobiety, pohańbione i skrzywdzone jako matki, dziewczęta te pozostaną w dziejach niby krzyczący w niebo pomnik szatańskiego zła.

Mniej straszne wydają się zbiorowe mordy, sadystyczne obłąkania, gwałty dokonywane przez rozbestwionych żołdaków, niż ta "rozpłodowa" akcja przeprowadzana planowo, na zimno, "naukowo," a stanowiąca zaprzeczenie wszystkiego co ludzkie, z przerażającym cynizmem, sprowadzająca ludzi do roli bydła. Jak przy doborze krowy i buhaja, klaczy i ogiera brane są pod uwagę wyłącznie cechy fizyczne. Wszystko inne nie istnieje, względnie nie posiada żadnego znaczenia. Nie istnieją dusze nieśmiertelne, wolna wola, godność, wstyd, duma, czułość, tkliwość, pociąg, wstręt, nienawiść, gniew, pragnienie, odraza. W pojęciu hitlerowców nie stanowią one bynajmniej o selekcji rasy. Były w dziejach nielada okropności, były branki wleczone w jasyr, dla rozkoszy zdobywcy, lub dla ciężkiej pracy. Czegoś równie potwornego jednak jak Helenów nie było nigdy i nigdzie. I tylko szatan, wieczysty szyderca, mógł podszepnąć hitlerowcom rzecz równie uwłaczającą pojęciu narodu panów i zgubną w skutkach dla nich samych.

Bo cóż za pomiot ulęgnie się z tych matek skrzywdzonych? Jaki ładunek jadu przyniesie na świat, dziecko obciążone przekleństwem, nim się narodziło, wychowane w kulcie zła, wyrośnie na monstro moralne. Te monstra pomszczą się na tych, którzy narodziny ich spowodowali.

PSY I NIC WIĘCEJ

Wymienione obozy koncentracyjne należą do najbardziej typowych i znanych. Nie wyczerpują bynajmniej jednak całej liczby. Daleko do tego. Na terenie Rzeszy, zachodnich ziem polskich oraz t.zw. Generalnej Guberni znajduje się znaczna ilość pomniejszych kręgów piekielnych, mniejszych co do rozmiarów, nie co do nasilenia męki. Pod tym względem wszystko cokolwiek było dotąd napisane, przewyższa osławiony Fort VIII w Poznaniu, zwany Na Ławicy, miejsce kaźni profesorów uniwersytetu poznańskiego, szeregu duchownych oraz inteligencji wielkopolskiej. Władze tego więzienia zdają się być złożone wyłącznie z sadystów-obłąkańców typu Schuberta.

To Na Ławicy kazano więźniom biegać na czworakach i szczekać jak psy, aby "nauczyć Polaków, że są tylko psami i niczym więcej." To Na Ławicy kazano więźniom przed chłostą śpiewać na urągowisko psalmy "Kto się w opiekę podda Panu swemu," a przy słowach "Ciebie nie dosięże miecz nieuchronny" poczynały padać zaciekłe, jadowite razy. Tam zmuszano więźniów, by klęcząc nadstawiali twarze do bicia. Niemniej straszliwe relacje dochodzą z obozu w Studchofie, pod Gdańskiem, przeznaczonego dla Polaków z Pomorza i Suwalszczyzny, oraz obozu Buchnenwald w Turyngii, położonego w głębi lasów bukowych, na specjalnie wykarczowanej polanie. Ludność okoliczna nazywa tę polanę "Porębą śmierci." Więźniowie giną setkami. Ponurą sławę zyskała Iława Pruska, gdzie kona w mękach 3.000 Polaków, inteligenci, robotnicy i rolnicy z północnych ziem Polski. Regulamin obozowy jest spotęgowany miejscowym sadyzmem władz. O byle co kara słupka, zreformowanego w ten sposób, że więzień rozdarty jest, rozpięty pomiędzy czterema słupkami. Jedzenie o połowę zmniejszone /lokalne kradzieże/. Chleba więźniowie nie dostają wcale. Czarny płyn rano i wieczór, w południe woda zrzadka zasypana kaszą. Jeszcze straszniejszy jest obóz w Działdowie, gdzie przy pracy nad siły więźniowie dostają na dobę tylko nieco czarnej kawy i kromeczkę chleba. Osobny rozdział należałoby poświęcić obozom w Treblinkach /pow. Sokołów/, w Konstantynowie pod Łodzią, w Inowrocławiu, w Lądzie /ten ostatni przeznaczony specjalnie dla księży/, obozom w Rawiczu, w Ciechanowie, w Lublinie i szeregu innych miejscowości, gdzie więźniami są chłopi oskarżeni o niedostarczenie kontyngentów. Wszędzie panuje to samo bezwzględne, wyrafinowane okrucieństwo, wszędzie nieludzkie przepisy regulaminowe wzbogacają się indywidualnym sadyzmem wykonawców. I wszędzie celem nie jest ukaranie, przeszkolenie, czy pozbawienie wolności człowieka, lecz zgładzenie go, śmiertelne wyniszczenie, przy równoczesnym zaspokojeniu zbrodniczych instynktów. Wszędzie uderza ta sama charakterystyczna nienawiść do Boga, do wszystkiego co Jego imię przypomina. Wszędzie widnieje niestarta pieczęć prawdziwego władcy Niemiec hitlerowskich. Przegląd obozów potwierdza raz jeszcze to, co nietajne nikomu: przez proroków opisane, w Apokalipsie opisane, przez jasnowidzów i świętych przepowiadane straszliwe zmagania wstrząsające obecnie światem, zmagania, w których prócz ludzi zdają się brać udział przyroda — gwiazdy i moce niebieskie — są walką Antychrysta z hufcami Chrystusa. Nienawiści rasowe, względy ekonomiczne, przestrzenie życiowe, komunizm, czy kapitalizm — to tylko pozory, przejawy uboczne, osłonki. Istotna treść polega na walce z Bogiem.

Materiałów niezbędnych do napisania niniejszego szkicu urywkowego, niepełnego, lecz *bezwzględnie autentycznego*, nie dostarczyli więźniowie. Zdarza się wprawdzie od czasu do czasu, że człowiek-widmo powróci z tego lub innego obozu. Darmo jednak oczekiwać odeń opowiadań. Nie tylko z powodu zobowiązanego milczenia, nie tylko z obawy, że niedyskrecja mogłaby pociągnąć za sobą powrót do piekła, lecz że opowiadać n i e m o g ą. Legenda mówi, iż św. Patrycy po wędrówce skroś czyśćca płakał nieustannie do końca swych dni. Dante wróciwszy na świat nie był podobny do żadnego żywego człowieka, a wszakże oni tylko *oglądali*. Tamci *doświadczyli*. Przeto nie mogą opowiadać. Opowiadając przeżywaliby powtórnie mękę przeżytą, a to przeżycie przerasta ich siły.

Przeszłą niewolę lubią opiewać
więźniowie,
Myślałem, że on ją nam najlepiej
opowie.
Wyda na jaw spod ziemi i spod straży
zbirów,
Dzieje swe, dzieje wszystkich polskich
bohaterów.

I cóż on na pytania moje
odpowiedział?
Że o swoich cierpieniach już sam
nic nie wiedział.
Nie pomniał. Jego pamięć zapisana
cała,
Jak księga herkulańska pod
ziemią spróchniała.

Sam autor zmartwychwstały nie umie
w niej czytać,
Rzekła tylko: będę o to Pana Boga
pytać.
On to wszystko zapisał, wszystko
mnie opowie . . .
/Dziady/

Więc skąd wiadomości? — Ano, po prostu od Niemców. W każdym obozie znajdzie się paru antyhitlerowców, nie usiłujących owijać prawdy w bawełnę. Za ich pośrednictwem wydostaje się ona na zewnątrz.

Wspomniano, że antyhitlerowcy, przebywający w Dachau, żyją pragnieniem zemsty, oczekiwaniem zemsty. To zjawisko jest nagminne. Niemieccy przeciwnicy Hitlera nienawidzą go drapieżnie, straszliwie, zaciekle. Snucie obrazów zemsty wypełnia i słodzi im życie. W nienawiści tej brak szlachetniejszych pierwiastków, brak odpowiedzialności i współwiny za to, że niegdyś c a ł y naród niemiecki udzielił Adolfowi Hitlerowi kredytu. Jest tylko żądza odwetu, odpłacenia przeciwnikom z nawiązką doznanego od nich prześladowania.

My podobnego stanowiska dzielić nie możemy. Odgradzamy się od niego kategorycznie, stanowczo. Nasze uczucia są inne. Kto zwalcza szatana jego własną bronią, zostaje w jego obozie. My, Polacy, nie dążymy do zemsty. My pożądamy, pragniemy i łakniemy *s p r a w i e d l i w o ś c i*. Wierzymy, ufamy, iż sprawiedliwość tę Bóg sam wymierzy. Wierzymy, iż ona już się zbliża. W walce obecnej posiadamy jako cel zasadniczy: stać w szeregu bojowników królestwa Bożego, nie w okopach Antychrysta. Kto się mści — powtarza akt popełniony przez wroga, czyli zstępuje do jego poziomu. Własnowolnie gubi słuszność swojej sprawy. Z zaszczytnego męczeństwa, jakie nam Bóg ponieść kazał, wyciągamy dwie nauki:

Metody niemieckie nie mogą być nigdy stosowane w Polsce, w życie narodowe nie śmie wkraść się żaden akcent poczęty z ducha hitlerowskiego, z szatańskiego posiewu pychy, nienawiści, zaprzeczenia świętych praw jednostki. Żadnego naśladownictwa! Jaki posiew, taki plon. Precz z zatrutym ziarnem!! Nic z niego nie wzejdzie, krom nieszczęścia i zatraty.

W razie przestępstwa musi nastąpić kara — prawa winny być surowe i nieustępliwe, bardzo surowe, nie znające wyjątków i przywilejów. Lecz wyrok musi ferować uczciwy, niezależny sąd. Kara zaś nie może polegać na *poniewieraniu i dręczeniu człowieka*. Wszelkie katowanie pociąga za sobą hodowlę katów. Hodowla katów jest szkołą sadyzmu, sadyzm powoduje gangrenę całego społeczeństwa.

A drugie:

przyszło nam walczyć z szatanem, z ludźmi, którzy pozostają bezpośrednio pod wpływem i kierunkiem starodawnego korumpatora. Zwodziciela dusz. On udziela im swej siły, swej przemyślności, swojej diabelskiej chytrości. Walka jest trudna. Używając tego samego oręża, zostaniemy pokonani natychmiast. Dla zwycięstwa uzbroić się należy inaczej.

W boju ogarniającym dzisiaj cały świat, zwyciężą jedynie ci, którzy będą *odrodzeni moralnie*. Zbrodnię pokonać można tylko cnotą, nieuczciwość — prawością, fałsz — prawdą, nienawiść — miłością; ogień gasi się wodą, nie ogniem. Krew tamuje się lekiem, a nie drugą raną. Jakżeby zło mogło zło pokonać? Czyż nie są jednym i tym samym?

Polska moralnie odrodzona stanie się duchową i materialną potęgą — Polska ulegająca złu, naśladująca metody nieprzyjaciół Krzyża — nie dokona niczego, zginie w chaosie wewnętrznych walk i nienawiści.

Zostawmy piekło Piekłu i sługom jego. Idźmy wprzód!!!

---

* Por. część pierwszą cyklu druk. w nr. 30, część drugą druk. w nr. 31, część trzecią druk. w nr. 32, i część czwartą druk. w nr. 33 "Polski Walczącej."

SUITA NIEODKUPIONA

Wicher swym wyciem poszarpał ciche melodie mej duszy.
T. Miciński: "Noc Rabinowa."

PODWIOŚNIE

Rozgędziły się przypolnie
pęki cytr,
stało się nagle błękitniej
i świt.

Sperełkowiał las nad stawem,
modry pas,
na mokradła rozczesane
wyszedł brzask.

Pająk w głogu zaszeleścił,
strojąc szron,
bo na jutrznię światłopieśni
zapiał dzwon.

Głos po rosie leci, kona,
z miasta mgła
wykłębia się w nieboskłonach,
w wodzie gra.

Przyjmij jaskier. Zasusz w sercu.
Wspomnij mnie.
Co . . . on mdleje ci na ręce?
Smutno, źle.

MADONNA

Ręce złóż, o tak, na kolanach,
patrz się teraz na mnie zapłoniona,
jakbyś światło zobaczyła z rana,
w snach zbudzona.

Dobrze Miła, nie rusz się przez chwilę,
kolor wstawię w pozłacaną ramę,
że za nami wciąż miłości tyle,
tej samej.

POŻEGNANIE

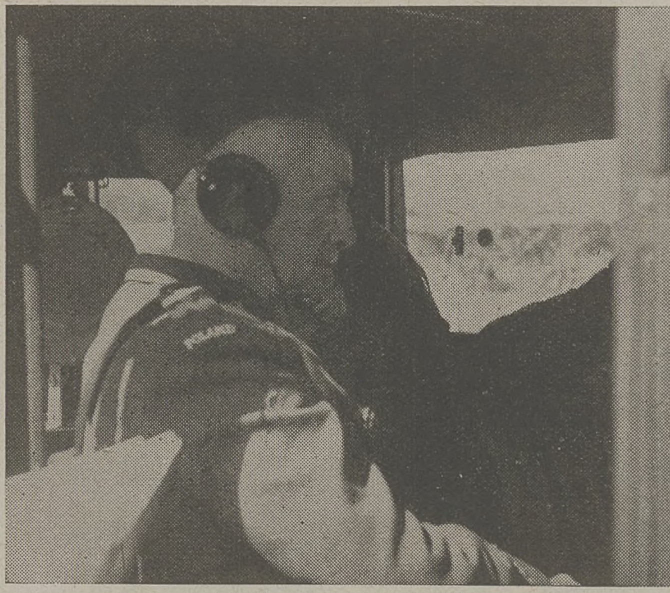
Pamiętam! Byłaś w błękitnej sukience
i miałaś wielki, słomkowy kapelusz.
Dałaś mi narodowy pęk wycałowanych róż,
na wysmukłej, opalonej ręce.

Żegnałem ciebie z przedziału wagonu.
Ty stałaś w tłumie, na wieki spamiętam.
Wołałem: —wierz mi, na pewno przyjadę na święta!
Głos się gołębił w gąszczu dzwonów.

Widziałem z okna: dłonią powiewałaś.
Pociąg skandował: żegnaj wszystko miłe . . .
na peronie, w dymie postacie się rozemgliły,
a mnie tylko — ojczyzna została.

JERZY FACZYŃSKI

Manewry podczas wojny



Naczelny Wódz w czasie manewrów

Pojechaliśmy w kilku — dziennikarzy, fotografów, filmowców. Ci ostatni spodziewali się efektownych scen batalistycznych. Roiły się im stada czołgów, uderzających na siebie z impetem, dobrze upozowanym wobec zawczasu oczekujących obiektywów. Nic z tego! W kierownictwie ćwiczeń wiedzieliśmy o wszystkim, ale zawsze po niewczasie. Bywało tak, że przyjeżdżaliśmy szybkimi samochodami na miejsce, gdzie oczekiwane spotkanie . . . nie nastąpiło nigdy. Kiedy indziej zaczailiśmy się na "pewniaka" w lasku, w którym gęste podszycie stanowiły dobrze zamaskowane czołgi i na który wychodziło natarcie czołgów nieprzyjacielskich. Plan był cudowny! W rzeczywistości czołgi nieprzyjacielskie zniszczone zostały przez wszechmocnych rozjemców, zanim nasze weszły do akcji. Potem błąkaliśmy się już trochę na chybiłtrafił, ale i to nie pomogło. Surowiec filmowy wrócił w stanie dziewiczym do Londynu, a kinooperatorzy poszli w złych humorach na drogie whisky.

Tak to jest z tą wojną dzisiejszą. W maskowaniu i rozproszeniu nowoczesnej bitwy pancernej, przebiegającej na przemian w zaczajeniach lub nagłych i szybkich skokach — nie ma radości dla poławiaczy dziejącej się historii. Mogą oni zdejmować przemarsze i zaopatrzenie, jeśli stosownie do woli dowódcy wyznaczone były . . . nie na nocne godziny. Mogą nacieszyć się scenami żołnierskimi na odpoczynku, lub biwaku. Czasem udaje się uchwycić poszczególne człony lub epizody, nad których powiązaniem mozoli się później wytwórca. Ale wielkie masy czołgów skupionych w walce na małej przestrzeni — są dziś marzeniem trudno uchwytnym zarówno dla kinooperatora jak i dla . . . obserwatora artylerii nieprzyjacielskiej.

Dlatego to musimy zadawalać się skromnymi obrazami wojny nowoczesnej, oglądanymi w kinach. Wiele trudu i daremnych wysiłków składa się na te, tak skromne wobec rzeczywistości, rezultaty. Dopiero przy wkraczaniu do miast włoskich, kinooperatorzy użyli sobie dowoli i nakręcili masę zdjęć, bardzo udanych, głównie dzięki . . . fotogenicznemu zachowaniu się ludności sycylijskiej, która w lot pojęła o co chodzi.

My jednakże wojowaliśmy w spokojnej Anglii, wśród ludności, która zdawała się nie dostrzegać tysięcy samochodów i żołnierzy. Walka polskich i kanadyjskich oddziałów pancernych przetoczyła się poprzez miasta, wioski, lasy i pola, wciągnięte w rytm naprężonej pracy. Jedno z hrabstw angielskich — niczym okręt — pędziło naprzód całym wysiłkiem swej produkcji, gdy — jakby na pokładzie tego okrętu — chwilowi pasażerowie stoczyli walkę, niekrwawą, ale nacechowaną ogromnym wysiłkiem organizacyjnym. Załoga hrabstwa nie zwracała na tę naszą "wojnę" większej uwagi. A więc i wojennego folkloru musiało braknąć.

Wycieczka dziennikarsko-filmowa powracała z niczym.

A jednak . . .

* * *

Przede wszystkim przyjemnie było zobaczyć naszych byłych kawalerzystów, piechurów i czołgistów — w nowej roli. Dwa lata temu nie mieli pojęcia o sprzęcie pancernym, którym dziś posługują się z tak wielką pewnością siebie. Podczas parogodzinnego postoju w lasku wziąłem od dwu kaprali wyczerpującą i świetną lekcję na temat konstrukcji czołga i posługiwania się nim. O dwieście metrów dalej roztrząsałem ze zwykłymi dragonami sytuację terenową i przebieg spodziewanego natarcia. Każdy z napotkanych artylerzystów wszystko wiedział o swoim zadaniu. Trzeba tu dodać, że zajmowanie stanowisk odbyło się szybko i składnie, a zamaskowanie nastąpiło natychmiast, automatycznie, bez żadnych specjalnych rozkazów lub pokrzykiwań.

Na wszystkich twarzach, podczas każdego działania, widać było ogromne zainteresowanie ćwiczeniem, własną i nieprzyjacielską taktyką. Manewry trwały kilka dni, po bezsennych nocach snem morzyło upalne południe, ten i ów miał prawo do odpoczynku, ale kto czuwał — ten czuwał uważnie i przeżywał lub chciał przeżywać z dowódcą przebieg działań i ich sens.

Ze spokojną pewnością fachowca zachowuje się dzisiaj każdy żołnierz polskich oddziałów pancernych. Takiego wojska jeszcze Polska nie miała. A szkoda. Jak się okazuje, posiadamy dziesiątki tysięcy urodzonych mechaników i techników, którzy tak samo na lądzie, jak w lotnictwie i na okrętach — szybko opanowują skomplikowane mechanizmy nowoczesne. Kampania wrześniowa mogłaby mieć zgoła inny przebieg . . .

* * *

Zajmę się jednak innym przypomnieniem. Piętnaście miesięcy temu zdarzyło mi się płynąć Wołgą na statku tak szczelnie wypełnionym, że nie było mowy o innym wypoczynku, niż na przywiezionym z Anglii "dymaku." Roztasowałem się w pierwszej klasie, na korytarzu, podejrzliwie śledzony przez tłum oficerów sowieckich. Patrzyli oni długo i w milczeniu na dziwny proces — pompowanie gumowego materaca. Ten i ów otworzył usta, a wszyscy bacznie uważali na każde moje poruszenie. Materac rósł w oczach ku zdumieniu obecnych. Każdy szczegół mojego battle-dressu był również dokładnie obejrzany. Wreszcie jeden z widzów dał wyraz swojemu wewnętrznemu protestowi i powiedział, zwracając się ni to do mnie, ni to do "dymaka":

—*Anglijskij szpion*!

Zrobiła się z tego awantura. Niefortunny oskarżyciel powędrował do aresztu, a ja i "dymak" byliśmy zaproszeni na noc do kabiny, którą dzieliłem z wysokim dostojnikiem sowieckim przez następne cztery dni i noce.

Każdy wie, jak zbliżają się ludzie w podróży, jedząc i śpiąc razem. Dowiedziałem się wielu nader ciekawych rzeczy od tego komunisty wysokiej rangi. Pewien temat jednak powtarzał się każdej nocy. Mianowicie mój gospodarz był ciągle jeszcze pod wrażeniem przeżycia, które wstrząsnęło nim i przeraziło go do głębi. Oto był świadkiem spotkania kilku tysięcy niemieckich i sowieckich czołgów na polskim Wołyniu.

Opowiadał mi szeptem o tej parodniowej bitwie. Zmuszony był do obserwowania jej z jakiegoś rowu, nie mając możliwości opuszczenia przestrzeni, po której pędziły. waląc w siebie, tysiące czołgów różnego kalibru — w ogniu i dymie, w kurzawie i w piekielnym hałasie. Mówił całymi godzinami o swoim strachu i o trzęsącej się ziemi, o rozpruwanych pociskami czołgach, o dymiących pożarami stalowych urnach, o polach zdartych żelaznymi pazurami, o dziwnym żniwie, po którym zbierano nieprawdopodobne ilości metalowego złomu.

Sądząc z angielskich manewrów, taktyka broni pancernej przeżyła już następną swoją ewolucję. A szkoda jednak — że ten komunista nie miał . . . dobrego kinoaparatu.



Żołnierze podczas przerwy w akcji



Obejrzelibyśmy taki film chętnie. Co?

Jest w tym zrządzenie Opatrzności, że wejdziemy do walki pancernej wówczas, gdy — być może — inni zaczną ją raczej kończyć.

Pojawienie się na polach świata polskich czołgów wywoła prawdopodobnie krzynę większe zdumienie, niż mój nieszczęsny "dymak" . . .

* * *

Ostatniego dnia manewrów pokazano mi na mapie punkt, gdzie znajduje się dowództwo jednego z oddziałów pancernych. Miało być na polu, otoczonym z dwóch stron żywopłotem a z trzeciej strony — gajem. Już z daleka widziałem kilka samolotów, nisko krążących nad laskiem. Wyglądało to na bezowocne poszukiwanie. Wjeżdżając samochodem na pólko narazie nic nie zobaczyłem i przypuszczałem, że zaszła omyłka lub zmiana co do m.p. dowództwa.

Okazało się jednak, że wozy dowództwa były z niesłychaną zręcznością zamaskowane w otwartym terenie. Lasek był pusty, wbrew moim przypuszczeniom, ale pod stogami słomy i pod żywopłotem kipiało wojenne życie. Znalazłem się wśród mężczyzn, zmęczonych i niewyspanych, ale rozmiętnionych wojenną robotą. O wiele mil na północ rozwijało się ostrożne dziś natarcie Kanadyjczyków. A stąd płynęły zarządzenia i rozkazy — w jaki sposób nieprzyjaciel ma być przyjęty i uchwycony . . . we własną sieć ze stali.

Niewinnie przedstawiało się pole, nad którym dopiero co krążyły, na wzór sportowych szybowców, rozpoznawcze samoloty nieprzyjacielskie. Niegroźnie wyglądały szczelnie zasłonięte wozy dowództwa. I prawie że zabawnie brzmiały w ustach poważnych oficerów radiotelefoniczne rozkazy, których nieudolną próbkę pozwalam sobie odtworzyć poniżej, naturalnie ze zmianami, a to wobec tak zwanej tajemnicy wojskowej . . .

—*Kazik, słuchaj* — mówił jeden dorosły pan do innego niewidzialnego dorosłego pana — *tu mówi Stanisław IV . . . Zrozumiałeś? To notuj dokładnie, bo to bardzo ważne . . . Dyktuję . . . Wnuki nosorożca zamierzają znieść kanarkowe jajka do kapelusza cioci Frani i w sam środek wielorybów . . . Tylko się nie pomyl, bo to ważne — nie wielorybie kapelusze i nie kukułcze jajka, tylko kanarkowe, powtarzam, kanarkowe — i do kapelusza Frani, powtarzam, Frani . . . To nie wszystko. Z bieguna północnego przysyłają nam pomarańcze i proszą o niewkładanie ich do sardynek . . . Odebrałeś? U nas wszystko okejowo, tylko krokodyle wycofały się na księżyc i zażądały śmietanki i piwa. Jeżeli możecie, doszlijcie im pieprzu . . . Pieprzu, nie wieprzów, mówię! O wieprzach na razie nic. Czirio!*

Odszedłem na palcach od tych przerażających spraw. Zaraz w następnym samochodzie odebrano mi wszystkie papierosy. Nie palono tu od kilku godzin, gdyż pobliska wioska, wraz z dwoma sklepikami i wszystkimi papierosami była o świcie doszczętnie zniszczona. Przez rozjemców, naturalnie.

* * *

Według mojego skromnego zdania, Polacy absolutnie zwyciężyli Kanadyjczyków. Po pierwsze, "zastosowawszy zaskoczenie," zdobyli kopalnię chromu. Po drugie utrzymali ją przez dostateczną ilość czasu, żeby zapasy chromu wywieźć, a kopalnię zniszczyć. Po trzecie — nacierających nieostrożnie Kanadyjczyków udało się mocno przetrzebić ogniem artylerii. Po czwarte — nocne oderwanie się od przeciwnika było wykonane po mistrzowsku . . . Po piąte . . . Po szóste . . . Krótko mówiąc — Polacy byli lepsi — i dlatego wygrali.

Mój kolega — dziennikarz kanadyjski — był, oczywiście, zupełnie innego zdania.

Pomimo to wracaliśmy zgodni co do tego, że Polacy i Kanadyjczycy wspólnie — dadzą rady Niemcom.

Ot i cały sens manewrów — dla dziennikarzy.

Lecz dla żołnierzy następuje nowa wielka praca — wyzyskanie nabytych doświadczeń — jeszcze ściślejsze współdziałanie i jeszcze sprawniejsze zaopatrzenie i jeszcze lepsza znajomość terenu walki.

Wtedy można będzie walczyć jeszcze szybciej.

Bo dziś — z w y c i ę z c y jadą szybko . . .

STANISŁAW STRUMPH WOJTKIEWICZ





Bez black-outu

Spotkanie Amerykanina pochodzenia polskiego na terenie Wielkiej Brytanii nie należy już dzisiaj do sensacji dziennikarskich. Spotykamy ich stale na każdym niemal kroku i zawsze znajdujemy wspólny temat, zrozumienie, zawsze następuje wymiana adresów i później żal nam, gdy te doraźne kontakty szybko przemijają. Wyczuwa się, że w tych na pozór nic nieznaczących spotkaniach jest twórcza, dobra zapowiedź na przyszłość.

Moje spotkanie z Walterem B. z Chicago, który okazał się po prostu polskim Władkiem, zaczęło się jak dziesiątki innych. W dużym wagonie trzeciej klasy w pociągu Londyn-Edinburgh, podszedł do naszego stolika żołnierz w mundurze amerykańskim i poprosił o polską gazetę. Poprosił w pięknej, najczystszej polszczyźnie. Zaznaczył, że uważa za swój obowiązek czytać w języku ojczystym, gdyż nie chce wyjść z wprawy, a żyjąc w środowisku wyłącznie amerykańskim obawia się, że mu to grozi... Rodzice zmartwiliby się bardzo, gdyby jego język polski, pielęgnowany przez nich od dzieciństwa, zmarniał lub ucierpiał na tej wojnie.

Piastowsko-biblijne zwroty Waltera nie psuły uroku postaci Władka. Rzucił na nasz stolik garść cygar, tytoniu fajkowego, cukierków i powiedział: — "To dla was! Ja wiem, że Polacy lubią takie amerykańskie podarunki, już wiele tutaj rozdałem." Cygara były przednie, ale za mocne, by palić "bez podkładu," więc wyciągnęliśmy z torby nasze polskie kanapki, które Władkowi bardzo smakowały. Jak zwykle przy tego typu spotkaniach Władek był obciążony całym balastem informacji i dokumentacji, więc musiał gadać cały czas i odpowiadać na pytania:

"Matka z ojcem i starszym bratem, który Polski nie znał, tak jak ja, urządzili sobie wycieczkę do Ojczyzny w r. 1938. Brat nie chciał wracać z powrotem, tak mu się Stary Kraj podobał, ale business nie pozwala na miłość, więc musiał wrócić. Ja zacząłem składać pieniądze na tę podróż do Ojczyzny i miałem jechać właśnie w roku 1939. Trzeba było chyba zebrać z 1000 dolarów, bo chciałem jechać własnym autem. Miałem dwa swoje samochody, bo zarabiałem w fabryce wcale dobrze jako mechanik. Przyszła wojna i cały plan przepadł, ale myślę, że teraz to niedługo będę w Polsce i to... za darmo.

To dla niejednego z naszych polskich chłopaków z Ameryki czysty interes będzie. Bo uważacie: dawniej wydałby 1000 dolarów, a teraz Ojczyznę za darmo zobaczy i jeszcze żołd będzie brał. Wiecie, my Amerykanie polskiego pochodzenia mamy taką jedną ideę, o której nieraz między sobą mówimy: żeby zacząć oszczędzać już teraz w Wielkiej Brytanii, a jak przyjdzie czas ruszyć do Polski, to wszystkie dolary wydać w Starym Kraju a to w tym celu, aby się Polacy choć trochę wzbogacili. Żeby na przykład z picia była nie tylko przyjemność, ale i pożytek. Dobra idea — nie? Może wyda się wam zanadto praktyczna, ale trudno. Każda amerykańska myśl jest praktyczna. Aha — i jeszcze coś! Tak sobie myślę, że było by najlepiej, żeby się każdy z nas — oczywiście kawaler — ożenił w Polsce. A to po prostu dlatego, żeby polskie dziewczęta zabrać trochę do Ameryki na lepszą dolę po tych cierpieniach, które teraz przechodzą..."

Praktyczny zmysł Władka połączony z nieukrywanym uczuciem dla kraju, którego nie zna, wzruszył nas szczerze. Walter-Władek zapalił się do własnego pomysłu i roztaczał przed nami obrazy dolarowej kąpieli, w której tonąć będą miasteczka polskie pod czasową "okupacją" amerykańską. Ten zdrowy głos Ameryki, w którym dźwięczały swoiście pojęte uczucia, był mocniejszy w wyrazie od wielu pustych frazesów braterstwa, zwartości, gotowości i innych "ości."

Świeżość bije z każdej rozmowy z ludźmi Nowego Świata, świeżością tchnie słowo tam pisane. Przed kilkoma dniami, po spotkaniu z Władkiem, wpadł mi do rąk całkiem przypadkowo ciekawy polski referat z USA /w maszynopisie/, opracowany przez p. T.H. jeszcze w lutym 1942 roku w Chicago p.t. "Uwagi w sprawie organizacji polskich prac informacyjnych w Stanach Zjednoczonych." Dziś, gdy tyle mówi się na temat polskiej informacji w Ameryce, warto posłuchać głosu Polaka urodzonego w Stanach Zjednoczonych, który wykazuje nie tylko wielką bezstronność, połączoną z dobrym "rozpoznaniem w terenie," ale przede wszystkim dużo świeżości i trzeźwości w samym ujęciu zagadnienia. Charakterystyczną rzeczą dla naszej tutejszej "sprawności" jest olbrzymia aktualność tego referatu /luty 1942/ — na jesieni 1943.

Najciekawsze ustępy tej pracy postaram się podać w skrócie.

"Polskę odbuduje nie siła oręża, ale myśl twórcza Polaków. Aeroplany i czołgi przesądzają dzisiaj o wynikach bitew, ale o ostatecznej wygranej, jutro zadecyduje mózg... Polski nikt Polakom nie podaruje, muszą ją oni sobie wypracować... Będąc Amerykaninem polskiego pochodzenia pragnę, w miarę moich sił spłacić dług względem kraju ojców, bo posiadając dwudziestoletnie doświadczenie z pracy na terenie tutejszym, bo znając na prawdę dobrze stosunki amerykańskie w ogóle, a polsko-amerykańskie w szczególności, bo wyczuwając należycie psychologię tutejszego społeczeństwa, bo będąc świadom istniejących dzisiaj tendencji w intelektualnych, a więc decydujących sferach Ameryki, pragnąłbym cały ten zasób wiedzy i doświadczenia oddać jako mój wkład w odbudowę Polski. Nie pragnę nikogo pouczać ani krytykować; pragnę jedynie ostrzec o grożących niebezpieczeństwach i podać konkretne sugestie działania..."

Autor podkreśla następnie rolę Stanów Zjednoczonych w powojennym urządzeniu świata i twierdzi, że już teraz zaczęła się na terenie U.S.A. "konferencja pokojowa," w której rolę przewodnią odgrywa nie kto inny, ale wyłącznie A m e r y k a ń s k a O p i n i a P u b l i c z n a. Autor zapytuje odważnie:

"Cóż ta opinia wie o Polsce? Czy jest ona świadoma praw Polski do wolnego bytu? Czy przekonana jest, że Druga Rzeczpospolita zdała egzamin? Czy należycie szacuje wkład Polski do skarbca wolnych narodów? Czy propaganda polska stoi na wysokości zadania?

Generał, który nie docenia przeciwnika jest kiepskim generałem. Kupiec, który bagatelizuje konkurenta, nie zrobi interesu. Polityka urzędowego optymizmu, która polega na zamykaniu oczu na rzeczywistość, jest polityką fałszywą. Spójrzmy prawdzie w oczy!

Sympatia do Polski istnieje, może nawet większa, niż w r. 1939, ale Sprawa Polska na terenie Stanów Zjednoczonych nie stoi mocno. Amerykańska opinia publiczna w dalszym ciągu niewiele o Polsce wie, a co gorsza ta jej część, która nadaje kierunek, jest do Polski raczej negatywnie ustosunkowana, uważając, że Polska "egzaminu nie zdała." Tego rodzaju niesłuszna i niebezpieczna opinia powstała dlatego, że "egzaminu nie zdała" polska propaganda. Ktoś jednak powiedzieć może: "Krytykować oczywiście łatwo. Co jednak czynić wypada? Jak robić tę propagandę"?

Pan T.H. omawia następnie bardzo ożywioną działalność "Russian War Relief Inc.," na którego czele stanął cały szereg bardzo wybitnych przedstawicieli amerykańskiego społeczeństwa. Mówiąc o sposobie wiązania ludzi z Polską i ze sprawą polską odrzuca zakłamanie typu "kontynentalnego" i nie owija rzeczy w bawełnę:

"Ażeby człowieka przywiązać do jakiejś sprawy trzeba mu dać coś do roboty, do myślenia, albo do zabawy. Może to być "relief," albo zabawa w przyjęcia dla "wybitnych" gości. Może to być praca umysłowa, planowanie, wydawanie pisma, albo nawet zbieranie znaczków. Istnieje w Stanach Zjednoczonych cały szereg ludzi nawet wybitniejszych, którzy dzisiaj są zupełnie niepowiązani z jakąś akcją polską, a jednak ludzi do Polski zasadniczo dobrze usposobionych. Nie będąc "powiązani" — nic nie robią dla Polski, ze szkodą Polski."

Referent stwierdza niestety, że najsłabiej jest Polska propagowana i doceniana w sferach intelektualnych Ameryki, to znaczy w tych właśnie, których opinia najbardziej na losach Polski może zaważyć. Twierdzi, i słusznie, że sfer tych nie uda się pozyskać broszurami i rzuca myśl zaproszenia wybitniejszych przedstawicieli intelektu amerykańskiego do udziału w pracach nad odbudową Polski. Projektuje stworzenie organu pod nazwą: "American Commission for the Reconstitution of Poland."

Nie wiem, czy "właściwe władze" tutejsze znają ten referat amerykański, nie wiem — co jest zupełnie możliwe — czy nie leży on gdzieś w archiwum przysypany kurzem, oczywiście z "właściwym" numerkiem inwentarzowym. Ale gdziekolwiek jest, to tę jedną myśl warto wyjąć z referatu za pokwitowaniem i szybko realizować. Zadania tej komisji wyobraża sobie autor jako:

"... wypracowanie w porozumieniu z czynnikami oficjalnymi i społecznymi na wygnaniu, planów odbudowy pewnych faz życia polskiego na zasadzie doświadczeń amerykańskich i przy bezpośrednim udziale amerykańskich specjalistów. Że taka akcja, przez taką właśnie organizację może wydać realne korzyści wnosić można z działalności chociażby "Commission to Study the Organisation of Peace," na której czele stoi znany profesor James T. Shotwell. Z tą organizacją należało by wejść w bliski kontakt i ewentualnie stworzyć "Polską Komisję" jako autonomiczną jednostkę wchodzącą w skład powyższej ogólniejszej Komisji. Stosując taką taktykę, dało by się ewentualnie pozyskać większe zainteresowanie wpływowszych czynników.

"Komisja" ta służyć by mogła do wyszukiwania i przenoszenia do Polski najlepszych metod amerykańskich w pewnych dziedzinach i stać by się mogła łącznikiem z tutejszym światem techniczno-naukowym.

Komisja ta mogłaby być źródłem ogromnie cennych dla Polski informacji i wartościowym łącznikiem zwłaszcza w najtrudniejszym okresie początkowej odbudowy Kraju. Na czym praca tej Komisji mogłaby polegać?"

Autor podaje z kolei wykaz szczegółowych prac z dziedziny: szkolnictwa, żeglugi, zdrowia, rolnictwa, techniki, nauki, reemigracji. Projekt utworzenia Komisji zamyka słowami:

"Organizacja ta stałaby się najbardziej wpływową rzeczniczką sprawy polskiej w sferach najbardziej decydujących, które dzisiaj są może najbardziej sceptycznie do Polski usposobione. Trzeba je przekonać czynem i związać je ze sprawą polską twórczą współpracą. Twórcza propaganda, propaganda najbardziej przekonywająca, polega na pobudzaniu i organizowaniu sił naturalnych."

Znaczną część referatu p. T.H. zajmuje ocena polskich wydawnictw propagandowych na terenie Stanów Zjednoczonych, omówienie ich celowości i rozdziału. Nas interesuje najwięcej ustęp p.t. "Artykuły w pismach amerykańskich":

"Polska posiada zarówno w Stanach Zjednoczonych jak i w Wielkiej Brytanii i Kanadzie szereg piór zdolnych. Pióra te należy zorganizować, zachęcić i skłonić do pisania artykułów do wydawnictw amerykańskich...

Nie należy podchodzić do wydawnictw amerykańskich z przesadnym strachem, nie należy wyobrażać sobie, że tylko wielcy ludzie i geniusze mogą wejść na rynek tutejszy. Trzeba znać pisarstwo amerykańskie. W 99% składa się ono z dobrych, czasem pierwszorzędnych, techników pisarskich. Każdy dobrze napisany artykuł w zasadzie znaleźć może odbiorcę. Techników pisarskich obliczać można w Stanach na dziesiątki tysięcy. Propaganda polska, organizując te siły polskie i ułatwiając im wejście na rynek amerykański normalny, zdziałałaby dla Sprawy Polskiej, z bardzo małym kosztem, znacznie więcej, niż przy pomocy własnych wydawnictw propagandowych. Zdziałała by ogromnie wiele, bo weszła by na forum może najbardziej decydujące, forum, które emigranci polityczni niemieccy, niby to antynaziści, bardzo skrupulatnie i umiejętnie kultywują."

Omówiwszy znaczenie listów do redakcji i książek o Polsce w bibliotekach amerykańskich /ten ustęp zbiega się żywo z akcją "Polski Walczącej" w sprawie książek o Polsce dla bibliotek publicznych w Wielkiej Brytanii/ referent stwierdza jednak, że:

"Propagandę trzeba tworzyć a nie drukować. Trzeba tworzyć okazje do propagandy. Żył sobie żołnierz. Żołnierz nieznany. Wzięli go do wojska. Pies jego wierny zachorował— z tęsknoty. Poczęto pisać nie o żołnierzu, ale o psie, a później dopiero przypomniano sobie żołnierza. Jeżeli więc na początku nie można "sprzedać" pewnej sprawy, to trzeba rozpocząć pisanie o rzeczach ciekawiących publiczność — o "psie" i powiązać tę sprawę z tą rzeczą, która publiczność ciekawi. Na tym polega sztuka propagandy. Propagandę trzeba rozwijać, rozszerzać, kontynuować i trzeba stale umiejętnie i wytrwale fabrykować okazje, czy z okazjami czy bez "okazji" — dla tej propagandy...

Propagandę należy tworzyć dokoła osób, które czy to dzięki swojemu stanowisku, czy sławie, czy wpływom, są albo atrakcją, albo są uważane za autorytet w jakimś zakresie. Trzeba umieć te osoby "ludowi pokazać." Nie chodzi nawet koniecznie o przemówienia, ale chodzić może o okazje do artykułów gazeciarskich, które inaczej nie mogą być spowodowane.

Był niedawno podobno w Nowym Jorku dowódca Polskiej Eskadry Lotniczej 303, która zasłynęła podczas obrony Londynu. Urzędnik Brytyjskiego Ministerstwa Informacji powiedział mi, że 17% wszystkich samolotów niemieckich, zestrzelonych nad Londynem, zestrzelili polscy lotnicy. Dowódca tej eskadry podobno był przez trzy tygodnie w Nowym Jorku. Niceśmy o tym w prasie nie czytali, nie widzieliśmy go na ekranie kinematograficznym, nie był on w żaden sposób zaprezentowany amerykańskim tłumom, które mogły go entuzjastycznie powitać. Jeżeli był, to nie wyzyskano dobrej okazji do twórczej propagandy."

Myśląc o potrzebie skoordynowania aparatu informacyjnego p. T.H. podkreśla, że istnieje tylko jedna sprawa polska, istnieje tylko jeden cel egzystencji polskich placówek urzędowych w Stanach Zjednoczonych. Domagać się więc należy poddania skoordynowanej akcji jednemu kierownictwu. Mówiąc o zadaniach polskiej propagandy w Stanach Zjednoczonych ujmuje je autor w slogan: "To sell Poland to American public opinion."

Poza dużą znajomością rzeczy i ludzi, poza przemyśleniem tematu w sposób życiowy i praktyczny, przebija z całego referatu przede wszystkim świeżość:

"Świat przeżywa kryzys zasadniczy. Losy Polski decydują się na stulecia. W takim momencie nie wolno stać na miejscu, nie wolno stosować form przeżytych, zasad przestarzałych. Potrzeba polotu, śmiałości, iskry Bożej. Potrzeba twórczej interwencji, potrzeba nawet radykalnych cięć...

..."Jak ognia wystrzegać się należy rutyny i biurokratyzmu. Te propagandy nie tworzą. Kierownictwo powinno całą propagandę w głowie swojej nosić. Powinno tą propagandą kierować, koordynować ją i baczyć, by nie skończyła się tylko na bibule i raportach."

Jak dziwnie zbiega się ten głos z Ameryki z myślą żołnierską z owych rozmów wieczornych prowadzonych w godzinach pozasłużbowych pod kapryśnym niebem Wielkiej Brytanii; z myślą, która jest zawsze najwyższym wyrazem troski o przyszłość i los Ojczyzny. Ten głos zbiega się także z zakresem zagadnień, które nieraz na łamach "Polski Walczącej" znajdowały swoje — w miarę możności wyraźne i jasne — naświetlenie. Powtarzamy za p. T.H. ostatnie zdanie jego niewątpliwie rewelacyjnego w naszych dusznych warunkach opracowania i jeszcze raz wołamy o przyśpieszenie "sprawy amerykańskiej," której postępom, jako żołnierze możemy się, niestety, tylko biernie przypatrywać, a przecież według autora:

"Jest to sprawa zasadnicza i decydująca. Czasu jest niezmiernie mało. Zadanie jest wielkie i trudne. Z dniem każdym powiększa się ono i staje się coraz trudniejsze. Jeżeli w takim momencie, przy tak wielkiej odpowiedzialności, tej sprawy zasadniczej i podstawowej nie załatwi się odpowiednio, to wyniki mogą być fatalne dla przyszłości Polski."

WIKTOR BUDZYŃSKI

Pierwszy krążownik R.P.

Są rzeczy na świecie, o których się filozofom nie śniło — powiada przysłowie. To też pewien porucznik marynarki "in partibus infidelium" /bo w istocie żadnych okrętów wówczas nie mieliśmy/, podnosząc w dniu 10 lutego 1920 roku po raz pierwszy polską banderę w Pucku, nie śnił zapewne, że w 23 lata później dowodzić będzie w stopniu pełnego komandora pierwszym krążownikiem Rzeczypospolitej.

Deszczowy i zimny był to dzień — ów 10 luty 1920. Koń generała Hallera nie bez oporu wszedł w chłodne fale Zatoki, jakby czując, że z tym dostępem do morza niełatwa sprawa. Po 19-tu latach pracy — pionierskiej i owocnej — musieliśmy jednak podniesioną przez porucznika P. banderę opuścić. Oczywiście tylko na lądzie. Bo na morzu... ocalałe okręty nosiły ją dalej na urągowisko wrogowi!

Stało się to po bohaterskiej obronie Oksywia i Helu, bohaterskiej choć beznadziejnej, bo zbyt powoli "zmysł morza" narastał w społeczeństwie, byśmy w owe dziewiętnaście lat potrafili — obok wysiłku gospodarczego — stworzyć trwały pod morskie poczynania fundament. Zbudowaliśmy piękny port, stworzyliśmy marynarkę handlową, zabudowaliśmy wybrzeże. Mimo usiłowań czynników kompetentnych nie stworzyliśmy jednak odpowiedniej do naszych potrzeb siły zbrojnej na morzu.

Ufamy, że po raz ostatni. Mimo bolesnych strat Polska Marynarka Wojenna jest dziś bowiem silniejsza, niż przed wojną. A komandor P. podniósł banderę tym razem na jej pierwszym krażowniku.

Krytyków w Polsce nie brak. Ktoś powiedział, że to okręt stary. Zgoda — najnowszy nie jest. Ale jest silnie uzbrojony, wyposażony w najnowsze zdobycze techniki wojennej. Jako pierwszy okręt wyższej klasy w rękach polskich niewątpliwie spełni swoje zadanie: wyszkoleniowe i bojowe.

Krążownik "Dragon" ma piękną przeszłość, której niejeden okręt może mu pozazdrościć. Walczył z Niemcami pod koniec ubiegłej wojny. Potem — walczył dalej, jak i my... jeszcze po ukończeniu wojny. Na jednym z dział znajduje się tablica: "Nie zapomnijmy! Pamięci podoficera i 8 marynarzy z obsługi tego działa — poległych pod Rygą 19.X.1919."

W literaturze sowieckiej znajduje się ciekawa książka, napisana przez głównego komisarza floty bałtyckiej Sowietów w owym okresie. Walki między okrętami brytyjskimi a sowieckimi są tam wyraźnie uwypuklone. "Dragon" brał w nich udział. A skończyło się to atakiem ścigaczy angielskich na "Kronsztadt" oraz zatopieniem kilku okrętów sowieckich. Autor książki dostał się wówczas do niewoli brytyjskiej...

"Dragon" zna tedy już dobrze nasz rodzimy Bałtyk. Ale i w obecnej wojnie ma ładną stronicę chwały. Uganiał się za niemieckimi pancernikami "kieszonkowymi," schwytał wielki parowiec z kontrabandą, patrolował i walczył na wodach Indonezii. Ostatni wyszedł z oblężonego Singapore, mając na pokładzie brytyjskiego wiceadmirała, który przez kilka miesięcy dowodził z jego pomostu trudnymi operacjami na wodach Indji Holenderskich.

W początkach września 1942 roku kilka transportów polskich, płynących z Rosji do Anglii, przewinęło się przez południowo-afrykański port Durban. Niejeden z polskich żołnierzy-tułaczy zwrócił wówczas uwagę na stojący przy molo smukły krążownik brytyjski. Ale nikt nie zgadł, że po roku ten to właśnie okręt przejdzie pod polską banderę — jako pierwszy krążownik Rzplitej.

Dziś O.R.P. "Dragon" z każdym obrotem śrub pisze nowe stronice historii walki o wolność świata, Polski i mórz. Świadczy o żywotnych siłach narodu i coraz to wzrastającym zrozumieniu morza.

Jakikolwiek będzie skład przyszłej Polskiej Marynarki Wojennej — a ufamy, że tym razem stanowić ona będzie siłę gwarantującą bezpieczeństwo państwa i dobrobyt narodu — O.R.P "Dragon" odegra swą rolę: moralną i taktyczną. On i jego pełna zapału załoga, to żywy dowód naszych praw do wolności morskiej, do wolności Bałtyku. Nie tylko marynarka przeszła dzięki "Dragonowi" do wyższej klasy okrętów, ale Państwo Polskie dzięki wzrostowi Marynarki Wojennej przeszło do wyższej klasy państw — państw mających coś więcej do powiedzenia o morzu i na morzu.

Kto wie, że zachwiany — słusznie czy niesłusznie — po kampanii wrześniowej autorytet Polski odbudowali walczący bez przerwy polscy marynarze, z późniejszą pomocą lotników, ten łatwo zrozumie, że słowa powyższe nie są frazesem. W krajach anglosaskich jest skłonność do mierzenia innych narodów miarą najżywotniejszego z wysiłków — wysiłku morskiego. A to, czego dokonaliśmy na morzu — tak szczupłymi siłami—wzbudziło podziw największych autorytetów Wielkiej Brytanii i St. Zjed.

Od Polaków nie żądamy podziwu. Marynarze nie chcą sentymentów i stereotypowych wzmianek w prasie o ich "bohaterstwie." Chcą rzeczowego stosunku do Marynarki, w imię dobra ojczyzny. I chcą — boć mają ku temu prawo — aby ich pot i krew nie poszły na marne.

NEMO

ADRESY USTALONE

Osoby te jak również ich znajomi posiadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych, Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin. Street, London, S.W.1.

11. **Eckert** Stanisława: Semipałatynsk. Zaton Swinbaza /16.4.43/.
12. **Ehrlich** Janina, matka lotn. Stanisława: Semipałatynsk Zarminskij rejon Razinskij Selsowiet Kołchoz im. Kirowa /24.4.43/.
13. **Flach** Maria, matka Zbigniewa: Nowosybirskaja obłast. Selo Bakczar Nabierezna 13 /24.4.43/.
14. **Gola** Maria, żona sierż. Franciszka: Aktiubinskaja obłast, st. Akkemir Sienopunkt /16.4.43/.
15. **Grad** Zofia że synem Czesławem: Kustanajskaja obłast Siemioziornyj rejon Kuszmurun barak nr. 6 /24.4.43/.
16. **Gronkowski** Leon, ojciec Leona: Ambasada R.P. Kujbyszew /24.4.43/.
17. **Homan** Maria, matka ppor. Jerzego: Ałtajski Kraj, Ojrot Tura Gorkogo 60 /24.4.43/.
18. **Jagielska** Kazimiera, żona chor. Mariana: Kustanaj ul. Krasnopartyjna 46.A. /16.4.43/.
19. **Kawalec** Karolina, żona Kryspina: Dżambu Namangenska 34 Bolnica /16.4.43/.
20. **Krause** Zofia, żona Leonarda: Južno-Kazachstan Suzakski rejon Czułak Kurgan /16.4.43/.
21. **Kowalik** Janina: Siewiero-Kazachstanskaja obłast. Kellerowskij rejon poczta Głubokaje /16.4.43/.
22. **Kucharczyk** Agata, żona Jana z 2-giem dzieci: Karakałpkskaja-Nukus obłast. rejon Mujnak kołchoz Prygorchoz /16.4.43/.
23. **Kunc** Kartarzyna — rodzina Piotra: Akmolinskaja obłast Aryk-Bałykskij rejon poczta Akan Burluk /24.4.43/.
24. **Kozłowska** Zabina z d. Wnorowska Helena: Nowosybirska obłast. Bachczarski rejon poczta Bachczar posiołek Wawitowka /24.4.43/.
25. **Kuźma** Gabriela, żona Wiktora: Semipałatyńsk Deputacka 11 /24.4.43/.
26. **Klapińska** Maria, żona Ryszarda: Kustanajskaja obł. Fedorowskiij rejon Fedorowka, Karla Marksa 30 /24.4.43/.
27. **Kwaśniewska** Maria, żona bosmana Stefana: Sewierny Kazachstan Kokczetau Krupskoj 7 /24.4.43/.
28. **Mulak**, żona Władysława: Semipałatyńsk Zatom Swinbaza Kozzawod /16.4.43/.
29. **Michalska** Maria, żona Teodora: Altajski kraj Stacja Pospielicha Alejska 36 /16.4.43/.
30. **Matacz** Zofia, żona ppor. Wacława: Pawłodarskaja obłast Maksymogorkowskij rejon sieło Kaczyry, 21 Nadbierzenaja /16.4.43/.
31. **Mikulska** Paulina, matka Mieczysława: Kustanajskaja obłast. Fiedorowskij rejon Ziernosowchoz Mołotowa /25.4.43/.
32. **Myślińska** Jadwiga, rodzina por. Jana Myślińskiego: Pawłodar Stiepnaja 134 B. /24.4.43/.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £9,574

Kompania Sanit. - Sam. Bryg. Spadochronowej składa kwotę £5.14.6 na Polaków w Rosji w związku z odejściem st. sierż. A. Trz., szefa Kompanii, wraz z najlepszymi życzeniami.

Pchor. Emil P.

* * *

W załączeniu przesyłam kwotę: £10.0.0 /dziesięć funtów ang./ z przeznaczeniem na "Pomoc Polakom w Rosji."

Załączona kwota pochodzi od "grona oficerów polskich z zagranicy."

Mjr. P.

* * *

Na pomoc dzieciom polskim w Rosji sh.5.

A.O.

* * *

Zamiast upominku w dniu Imienin naszego kochanego Ludwika B. składają na Pomoc Polakom w Rosji 30 sh.

Koleżanki i Koledzy z "Lwowskiej Fali"

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £17.9.6 /słownie siedemnaście funtów, dziewięć szylingów i sześć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £9,574.8.10½ /słownie: dziewięć tysięcy pięćset siedemdziesiąt cztery funty, osiem szylingów, dziesięć i pół pensa/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich i 15 czerwieńców.

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Do Redakcji "Polski Walczącej,"

Batalion Podhalański i 16 Szwadron Łączności, złożyli w dniu "Święta Żołnierza" kwotę £18.4.0 z przeznaczeniem na paczki dla żołnierzy w niewoli.

Kapelan

NA FUNDUSZ WALKI CZYNNEJ Z NAJEŹDŹCĄ

Do Redaktora "Polski Walczącej," w Londynie,

Zamiast kwiatów na trumnę kan. Gralewskiego Jana Kazimierza Henryka, który zginął w wypadku samolotowym ś.p. Gen. Sikorskiego, załączam sumę £1.10.0 /jeden funt i dziesięć szylingów/ od Kompanii Polskiej w Gibraltarze na Fundusz Walki Czynnej z Najeźdźcą.

Ludwik L.
Polski Oficer Łącznikowy, Gibraltar

POLKI AMERYKAŃSKIE DLA LOTNIKÓW

Szanowny Panie Doktorze!

Starym zwyczajem zebrałyśmy na herbatce u pani Pokrowskiej 53. St. Joseph Blrd Lod N.J. dla naszych kochanych lotników $15 które niniejszym dołączam.

Ofiarodawcy p. Wojtczak Magdalena 990 Hudson Ave. Rochester N.Y., Jastrzębski Stanisław, 104 Grant Street, Passaic N.J., Mertz, Pokrowska, Jabłonowska, Płodowska, Konferowicz, Wadas, Nadolna, Serafin, Zawacka, Borys, Gawrylewicz, Sobieska.

Serdecznie Pana proszę o napisanie słów paru do osób których adresy podałam.

Łączę wyrazy szczerej życzliwości i poważania

M. Płodowska
104, *Grant St., Passaic, N.J.*

Pieniądze /po przeliczeniu na walutę angielską: £3.14.1/ przekazaliśmy do dyspozycji Inspektoratu Sił Powietrznych.

CIĄG DALSZY WYKAZU

33. **Niewolańska** Maria, żona sierżanta Tadeusza: Nowosybirskaja obłast Kargasok Oktiabrska 35 /16.4.43/.
34. **Nowak** Maria, żona plut. Władysława: Pawłodarskaja obłast Maksymogorkowskij rejon Pieszczanoje /16.4.43/.
35. **Orlewska** Wanda, córka Stefana, żona Stanisława z dziećmi Lidia 1929, syn Lesław 1929: Nowosybirskaja Kargarok Puszkina 12 /16.4.43/.
36. **Paszkiewicz-Jacobson** Małgorzata: Karasu 2, Frunze 42 /24.4.43/.
37. **Plezia** Eugenia, matka Zbigniewa: Kustanajskaja obłast. Fiedorowskij rejon Posiołek Staroszumnoje poczta Nowoszumunoje /24.4.43/.
38. **Płoska** Maria, matka st. sierż. Daniela: Kustanajskaja obłast Ubaganski rejon posiołek Selantowka /25.4.43/.
39. **Remiesz-Rymaszewskiego** Bohdana, dzieci: Janina, Eugeniusz, Jadwiga, Lucja, Teresa: Karakałpokskaja obłast. Nukus rejon Kungrad kołchoz Erke /16.4.43/.
40. **Rudnicka** Stanisława, poszukuje Tadeusza, mieszka: Nowosybirska obłast Kargarok Rabocza 30 /25.4.43/.
41. **Radomska** Petronela, matka Jana i Wawrzyńca: Pawłodarska obłast. Kaczyry Nabierezna 34 /24.4.43/.
42. **Reder** Franciszka z córkami Matyldą i Henryką: Teheran /poszukuje Adolfa Felsenfelda/ /30.9.42/.
43. **Sztylińska** Maria, matka Tadeusza: Kustanaj Presnogorkowka /16.4.43/.
44. **Sulimirska** Bohdana, żona generała zmarła w Rosji 26.2.1943 /16.4.43/.
45. **Szemioth** Maria: Siewiero-Kazachstan Bułajewski rejon Czystowski Ziernosowchoz Otdielenie 3 /16.4.43/.
46. **Siekanowicz** Irena z matką Kołodziej Helena: Aktiubinskaja Temirski rejon poczta Pokrowskoje kołchoz Stalina /16.4.43/.
47. **Szarek** Mieczysław i Stanisława: Kustanajskaja obłast. Uzunkulskij rejon Jerszowka /16.4.43/.
48. **Sadłowska** Maria, matka Mieczysława: Dżambulska obłast Swierdłowskij rejon kołchoz Ak-Kija /24.4.43/.
49. **Szlipkowska** Rozalia: Nowosybirska obłast Kargasok /24.4.43/.
50. **Strynkowska** Regina /poszukuje mjra Zygmunta i por. Bolesława/: Aktiubinskaja obłast Martuk Zaporozeska 37 /24.4.43/.
51. **Tabaczyńska** Janina: Ambasada R.P. Kujbyszew /16.4.43/.
52. **Tomaszewska** Wanda z siostra Alicja i ojcem Walerianem: Nowosybirskaja obłast Kolpaszewo ulica Trzeci Kwarta: 49 /16.4.43/.
53. **Huznik** Maria, żona plut. Józefa: Pawłodarskaja obłast Maksymogorkowskij rejon Kaczyry Oktiabrskij ziernosowchoz /16.4.43/.
54. **Sciobłowska** Eugenia, żona Eugeniusza /260/ Kustanajskaja Obłast, Federowskij rejon Fedorówka Kirowa 27 /mąż poszukiwany możliwa pomyłka w nazwisku/ /24.4.43/.
55. **Winczewska**, poszukuje kpt. lot. Konstrym Bolesława: Ambasada R.P. Kujbyszew /24.4.43/.
56. **Wróbel** Józefa, żona Andrzeja: Pawłodarska obłast. Maksymogorkowskij rejon Oktiabrskij ziernosowchoz /24.4.43/.

Daty umieszczone z prawej strony wskazują okres, z którego pochodzi wiadomość.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Uprzejmie proszę o przesłanie na Bliski Wschód załączonych przeze mnie broszur i książek.

Z poważaniem

Kazimierz Olejarczyk

Załączone: Kard. Hlond: "O Chrześcijańskie zasady życia państw." "Orędzie majowe Piusa XII." A. Beales: "Ład międzynarodowy według nauki katolickiej." "Katolicy a nowy ustrój świata." Arc. Teodorowicz: "Myśl religijna w narodzie." O. Prohaszko: "Katolicyzm a czasy obecne." Kard. Hlond: "Problem religijny jutrzejszego świata." W. Kalinka: "Męczeństwo św. Stanisława."

* * *

Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwalam sobie przesłać pod adresem redakcji kilka książek z przeznaczeniem dla Polaków na Bliskim Wschodzie.

Łączę wyrazy poważania

ppor. Z. Gr.

Załączone: F. Czarnyszewicz: "Nadberezyńcy." A. Fiedler: "Dywizjon 303." "Kraj lat dziecinnych." Z. Szyszko Bohusz: "Wrześniowym szlakiem." S. Strzelecki: "Goering poluje na rysie." T. Lubicz: "Drugi front." M. Hemar: "Dwie ziemie święte," i pięć broszur.

* * *

Przesyłam dwie książki dla żołnierzy polskich na Środkowym Wschodzie: T. Lubicz: "Drugi front." A. Junosza Gałecki: "Oskarżam," którą nabyłem za pieniądze złożone na ten cel przez kilku kolegów.

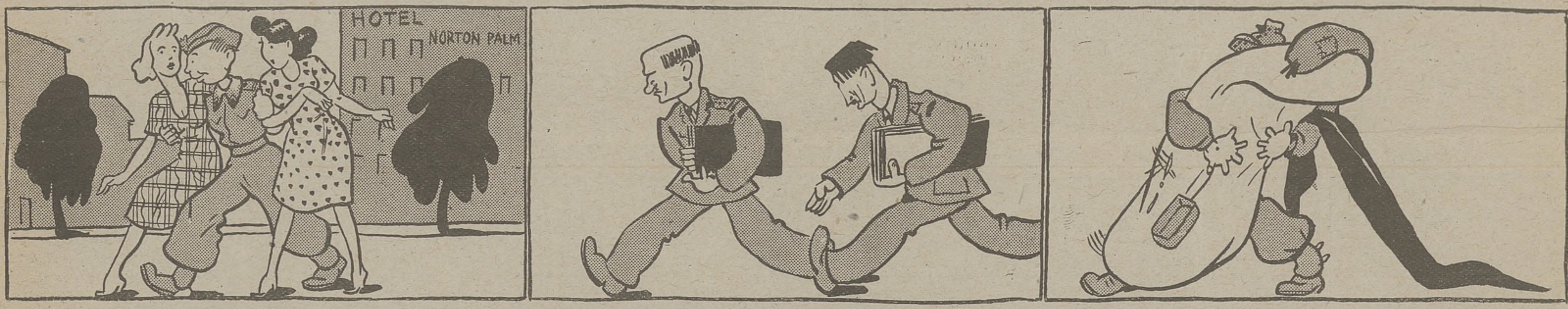
Józef Szczuka

* * *

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 2229 książek.

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Tekst: RYSZARD POBÓG — *Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ*



Każdy przyzna—w Kanadzie
Nieźle w wojsku się żyło,

Tylko trochę za szybko
Wszystko to się skończyło . . .

Pompka poznał odrazu,
Że coś w wojsku się święci,

Bo ruszyli do pracy
Wszyscy p. intendenci.

Zdawać koce!—krzyczeli.
Podać braki i straty!

Za zgubione przedmioty
Wszystko strącać z wypłaty!



I strącili. Solidnie.
Za drelichy, dwa koce

Z żołdu Pompki Walusia
86 procent.

Ale w porcie, przy statku,
Trapy były dość śliskie . . .

Intendenta akurat
Pompka trzymał walizkę.

Chlup! Walizka do wody,
A Walenty na górę.

Po godzinie dopiero
Znalazł na dnie ją nurek.

SPIS RZECZY:

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fieds, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

POSZUKIWANIE

SZCZUKA Józef, P.T.T.S., Halton, Bucks, poszukuje żony Heleny.

* * *

KURS HANDLU ZAGRANICZNEGO I ADMINISTRACJI PORTOWEJ

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego zawiadamia, że zamierza zorganizować ponownie jednoroczny Kurs Handlu Zagranicznego i Administracji Portowej w celu przygotowania kadr pracowników obeznanych z organizacją i administracją portów oraz z organizacją i techniką handlu zagranicznego. Kurs ten odbędzie się w Londynie i rozpocznie się 1 listopada b.r.

Uczestnikami kursu mogą być osoby bez różnicy płci, które nie przekroczyły 40 roku życia i wykażą się ukończeniem: szkoły średniej ogólnokształcącej starego typu, liceum ogólnokształcącego lub zawodowego nowego typu albo innego zakładu uznanego za równorzędny.

W celu umożliwienia słuchaczom utrzymania się w Londynie przewiduje się stypendia.

Zgłoszenia kandydatów na kurs przyjmuje do dnia 15 września 1943 r. i wszelkich wyjaśnień udziela Kierownictwo Kursu H.Z. i A.P., 20, Aldermanbury, The Hall, London, E.C.2.

Wojskowi składają swoje podania drogą służbową, informując jednocześnie o tym Kierownictwo Kursu.